

# MONGOLIA 2011

## Prolog

Dziesiątego czerwca od samego rana podjeżdżanie jestem poruszony. Skacze mi temperatura. Skacze, a potem opada. I tak w kółko. Zupełnie jakby dopadła mnie przyspieszona andropauza w wersji uboższej - dla młodszych. Ale to mało prawdopodobne. A raczej chyba w ogóle niemożliwe. Mam nie te lata. Mimo to czuję się podniecony i naładowany dziwną energią. Ale pozytywnie, więc nie mam powodu się martwić. Wiem, że ten dzień jest wyjątkowy. Dzień wielkiej przygody. Przygody trudnej do opisanego. W zupełnie obcym i nieznanym świecie. Dzień wyjazdu na wyprawę do Mongolii...

Oczekiwanie i przygotowania trwały okrągły rok. Decyzja zapadła na Chorwacji, przy urodzinowym, któregoś z rzędu żubrówce czy śliwownicy, tego niestety z oczywistych względów tak do końca nie pamiętam. Rysiek zapytał mnie z głupia frant, czy pojedę z nim do Mongolii. Na poprzednich jego wyprawach nie miał kto tak naprawdę zajmować się kroniką wyprawy, czyli kamerą i aparatem. Materiał, który ze swoich wypraw przywoził był mizerny i technicznie do bani. Nie było kamery, a sam aparat pozostawiał wiele do życzenia. Niewiele można było potem z tego zmontować. A tego też nie miał kto tak naprawdę wziąć w swoje ręce. W końcu stwierdził, że to musi się zmienić!

Nie biorąc na serio jego słów, odparłem że się zgadzam, że... w sumie czemu nie, traktując to jako wtrącenie śliwownicowe bajanie. Potem jeszcze kilka razy wracał do tego tematu. Upewniał się, czy jestem świadom tego, na co się decyduję? Czy jestem gotów jechać setki godzin zapuszkowany w kabinie auta, bo drogach które być powinny, ale ich nie ma? Czy nie pękne, kiedy potrzeby fizjologiczne będę musiał załatwiać w krzakach, których też może nie być...? Z przekory odpowiadałem, że to wszystko przyszc. Nie wystraszy mnie takim gadaniem! Teraz już wiem, że nie żartowałem... Ale mimo wszystko była to jak najbardziej słuszna decyzja.

A potem świat trochę zawirował, jak to na okrągłych urodzinach. A na drugi dzień niewiele pamiętałem. Ale on pamiętał! I od tej pory machina przygotowań ruszyła na dobre. Nie było już odwrotu...

Te najtrudniejsze i najbardziej fachowe przygotowania spoczęły właściwie tylko na barkach Ryśka. Od chwili, kiedy na lawecie pod jego dom zajechał świeżo zakupiony Land Rover Defender 110 TD. Końcowa wersja pojazdu prawie w niczym nie przypominała tego surowego, który zajechał pod dom. Nazywa się Krokodyl. Bo taki zielony i taki ładny...

Rysiek przez najbliższe pół roku, po mistrzowsku zagospodarowuje całe wnętrze. Konstruuje rozkładane kanapy do spania dla dwóch osób, montuje całe mnóstwo przydatnych schowków i skrytek, dodatkowy zbiornik paliwa z pompą załączaną jednym przełącznikiem z kabiny, i wiele, wiele innych pomyslowych udogodnień. Krokodyl

otrzymuje przetwornicę prądu z napięciem na 220 volt, do wszelkich ładowarek i narzędzi. Na dach zjawia się rozkładany namiot dla dwóch osób. Pod podwoziem przybywa zbiornik na wodę. Wyciągarka i snorkel. Cały zestaw narzędzi, od saperki po szlifierkę i piłę do cięcia drewna. Praktycznie wszystko co mogłoby się przydać w terenie.

Auto nabiera już swoistego sznytu. Po bokach nad oknami pojawiają się stalowe mosty. Na razie wyglądają jak szpanerska ozdoba dodająca tylko blichtru. Ale co ja wiem o prawdziwej wyprawie...

Wreszcie na karoserii pojawiają się naklejki. Krokodyl staje się niepowtarzalny. I pomyśleć, że długo wahaliśmy się czy w ogóle je nakleić. Nasze kobiety były przeciwne. - Świrujecie... po co musicie się chwalić że jedzicie do Mongolii!!!! Mamy mieszane uczucia. Sporo racji jest w tym co mówią. Chyba głupio tak się okleić jak w cyrku. Narazając się na domowe ciche dni, ostatecznie decydujemy się na oklejenie Krokodyla. Do wyjazdu mamy już tylko siedem dni. Wszystko jest gotowe...

## **Część 1.**

### **Czyli jakim cudem dotarliśmy tak daleko...**

9 czerwca zjawiam się w umówionym miejscu. Czyli pod domem Ryśka. Auto załadowane tobołkami po sam dach. Stoi przed domem wypchany po brzegi. Rysiek i Dżozef odziani w firmowe, piękne czarne koszulki z nadrukiem. Błyskawicznie dołączam do nich. Przerzucam jeszcze ostatnie swoje bagaże do auta i wciągam koszulkę. Ostatnie ujęcia na kamerze i... możemy jechać.

Ruszamy w kierunku Warszawy. Dwie godziny jazdy po autostradzie A2, i gdzieś w okolicach Koła zrównuje się z nami ładna terenówka. Kierowca i jego pasażer kiwają do nas przyjaźnie i robią nam zdjęcia. Po chwili zjeżdżamy na parking aby pogadać. Poznajemy dwóch rodowitych Mongołów, jeden z nich świetnie mówi po polsku, Mieszka tu ponad 20 lat. Drugi jest z biznesową wizytą i za kilka dni wraca do Ułan Bator. Wypijamy z nimi kawę w przydrożnym barze i wyciągamy jak najwięcej informacji o Mongolii. Jedna z nich trochę nas zaskakuje. W całej Mongolii od kilku dni nie można kupić ropy. Rosjanie wstrzymali dostawy. Ale jeśli będziemy mieli jakiegokolwiek problemy, mamy się kontaktować z tym z Warszawy. A on już postara się nam wszystko załatwić. Taki kontakt przed samym wyjazdem to skarb, który spada nam z nieba. Wymiana numerów i ruszamy dalej.

Okolo 14.30 na drugi dzień jesteśmy na granicy z Ukrainą. Czekamy na ekipę z Krakowa. Umilamy to sobie w maleńkim barze przy jakiejś zupce i soku pomidorowym.

Okolo 15 zjawia się Jeep Wrangler z dwoma dziewczynami na pokładzie, które twierdzą, że są gotowe na długą i trudną wyprawę. Mamy pewne obawy. Czy to dobry pomysł. Z

kobietami zawsze są jakieś nieprzewidywalne problemy. Prędzej czy później woda okaże się za zimna, albo w ogóle doskwierał będzie jej brak, spanie niedostatecznie miękkie, a kanapki zbyt twarde, lub bez obkładu... Zastanawiamy się gorączkowo, czy przypadkiem nie wzięliśmy sobie sporego, dodatkowego bagażu, którym trzeba będzie się opiekować.

Przekraczamy granicę z Ukrainą bez większych niespodzianek. Ale już około godziny 19 pierwsza kontrola milicyjna. Dziewczyny zostają zatrzymane. Jedziemy przepisowo, więc to tylko rutynowe zatrzymanie. Ale mimo to stajemy przed nimi w zasięgu wzroku, tak aby milicjanci nas widzieli. Po chwili puszczają nas bez zastrzeżeń.

Pierwsze przygody-niespodzianki pojawiają się bardzo szybko. Około godz. 20 pedał hamulca wpada nam do samego końca bez jakiegokolwiek reakcji. Na ręcznym zatrzymujemy się na poboczu w środku lasu. Mamy urwaną jedną rurkę hamulcową i wyciekł nam cały płyn. Musimy się doturlać do najbliższej wsi i poszukać mechanika. Ale na dziś nasza jazda raczej się zakończyła.

Najbliższą okazuje się wieś Czerewacha. Jeden jedyny mechanik jaki tam mieszka, to młody i sympatyczny Sasza. Godzinkę grzebie pod autem i zaślepia rurkę. Można jechać dalej, ale tylko na trzech kołach. Dostaje 5 dolarów i pozwala nam przenocować na swoim terenie. Przystawiamy się za jego zagrodę i rozbijamy pierwszy obóz. Oczywiście ognisko i pogaduchy do późnych godzin nocnych obowiązkowe. W końcu musimy się trochę poznać, skoro mamy przejechać 18 tysięcy kilometrów razem.

Rozkładanie spania też zajmuje nam trochę czasu. Jedna z dziewczyn śpi na metalowej półce ułożonej na bagażach w Jeepie. Druga dzielnie rozkłada namiot. Rysiek z Dżozefem lokują się w kabinie Krokodyla na rozkładanej kanapie, no a ja jak król, sam w namiocie dachowym :)

Namiot jest fantastyczny. Tyle że, aby się do niego dostać, muszę każdorazowo odwiązywać plastikowe puste bańki, które zakupiliśmy w stolicy, aby do Mongolii wjechać z zapasem ropy na przynajmniej tysiąc kilometrów... Bo kto wie co nas tam czeka...

## **2 dzień. Sobota. 11 czerwca.**

Ruszamy na wschód, na Rivne drogą E70. W mieście Żytomir udaje nam się kupić rurkę do hamulca. Ale jeszcze nie wiemy o tym, że zjedzie ona z nami całą Mongolię leżąc w schowku...

Ukraina to jeden wielki folklor. Jak ktoś był, to wie o czym mowa. Wioski mają swój niepowtarzalny klimat. Drewniana zabudowa, rozwalające się płoty.... i kolorowe, głównie niebieskie, pięknie zdobione okiennice. Milicja czyhająca na każdym rondzie i skrzyżowaniu. Staramy się jechać zawsze przepisowo. Wiemy z doświadczenia, że z nimi się nie dyskutuje. Biorą każdą sumę. Na Ukrainie i w Rosji, korupcja nie jest karalna...

Pokonujemy setki kilometrów bez przerwy. Nocleg nad niewielkim stawem. Chwilę rozmawiamy z kompletnie pijanymi rolnikami. Ledwo stoją na nogach. Ale są sympatyczni. Po czym wsiadają na mini traktorek i wracają do swoich domów... Jakim cudem dojadą w takim stanie, pozostanie ich słodką tajemnicą...

### **3 dzień. Niedziela. 12 czerwca.**

O godz. 6 rano startujemy. W Polsce jest godz. 5. Przed wyjazdem postanawiamy trzymać się zawsze czasu lokalnego. To ważne, aby nie zwariować przez przesunięcie czasu, które będzie się coraz bardziej zwiększać, w miarę pokonanych kilometrów. Aż dojdzie do siedmiu godzin różnicy. To bardzo dużo. Niejeden organizm może tego nie wytrzymać....

O godz. 8 jesteśmy już w mieście Sumy. Na drogach królują Moskwicze i Wołgi z lat 80. Doznajemy dziwnego uczucia. Powracają wspomnienia z lat młodości... Czasy PRL-u jakby znalazły tu swoją ostoję... Stare bloki, stare samochody... Gdzieś już to widzieliśmy...

A już o godz. 9 jesteśmy na granicy z Rosją. Ukraińcy wypuszczają nas bez większych problemów. Rosjanie za to trzepią nam cały samochód. Zaglądają wszędzie. Nawet do czarnego worka ze śmieciami. Namiot dachowy interesuje ich szczególnie. Przy okazji otwierając nam "nieotwierane" drzwi z prawej strony Krokodyla, tłuką nam kilka słoików z prowiantem... Bez słowa izwinitie...

Po trzech godzinach wypełniania papierków i deklaracji otwierają się szlabany. Jesteśmy w Rosji. Do Kurska mamy ponad sto kilometrów.

Przejeżdżamy przez miasto bez zatrzymywania, poza jednym tankowaniem. Miasto ani urodziwe, ani specjalnie brzydkie. Ot, sporo socjalistycznych blokowisk. Ale sporo też jest nowoczesnych i nawet niebrzydkich budynków. Na każdym kroku atakują nas wielkie, propagandowe plakaty o zwycięstwie nad faszyzmem. Przykuwają naszą uwagę autobusy miejskie. Wszystkie posiadają dziwnie wyglądające torpedy na dachach. To zbiorniki na gaz, bowiem wszystkie miejskie pojazdy komunikacji napędzane są tym właśnie paliwem...

Kiedy mijamy rzekę i spore miasteczko o wdzięcznej nazwie Dziewica, postanawiamy sobie zrobić parę zdjęć. Zwłaszcza że w naszym zespole są dwie dziewczyny. Ale ku naszemu zdumieniu, dają się bezproblemowo obfotografować na tle tablicy z nazwą miasteczka...

W pobliżu osady Kaszirskoje szukamy noclegu. Odbijamy w bok od głównej drogi, tak aby się oddalić od zabudowań, no i najlepiej nad jakąś wodą... Malownicza, czysta rzeczka wijąca się między pagórkami w zupełności nam wystarcza.

### **4 dzień. Poniedziałek. 13 czerwca**

Poranne mycie w czystej, aczkolwiek lodowatej rzece ma swoje zalety :) Noce mijają

nam na razie bez większych problemów. Po nocnej imprezie, wpadamy w kolejną kontrolę milicyjną w mieście Anna. Ja prowadzę. Na szczęście jestem trzeźwy. Obowiązuje nas niepisana umowa. Kto następnego dnia siada za rulą, to nie pije. I trzymamy się tego sztywno. Ratuje nas to wiele razy...:)

Krajobraz rosyjski jest powalający. Prosta asfaltowa droga jak spod sznurka ciągnie się po sam horyzont. Po bokach ogromne połacie brzoźowych lasów. Są piękne. W Polsce nie ma ich w takich ilościach. Robią na nas wrażenie.

Nawigacja też powala nas swoimi komunikatami... Jeden z nich rozbawił nas do granic. "jedź 585 kilometrów prosto a potem skręć w prawo..." Właściwie w tej części Rosji nie sposób już zabłądzić. Jest tylko jedna prosta droga wiodąca na wschód.

W tym dniu dzieją się też po raz pierwszy rzeczy dziwne. Przystaje działać jedna nawigacja. Nie można jej włączyć. Jest martwa. To prawdziwa katastrofa! W niej bowiem były wszystkie turystyczne mapy Mongolii.....! Do dyspozycji pozostaje nam tylko Garmin z bardzo prostą mapą... Czy ona nam wystarczy to się dopiero okaże... Prawdopodobnie przetwornica prądu powoduje uszkodzenia ładowarek... Spala się też ładowarka od aparatu fotograficznego Nikon. Zdjęcia robimy tylko do wyczerpania się trzech zapasowych baterii. Następnie w ruch idzie zapasowy aparat Olympus...

Kolejny dzień jazdy dobiega końca. We wsi Mantiejewka odbijamy w bok nad ładne jezioro. Piękne miejsce na nocleg. Mija kolejny dzień, a dziewczyny nic nie marudzą. Dziwne. Już czas na jakąś drobną sprzeczkę, czy awanturę. A tu nic. Trochę jesteśmy poirytowani... Jakoś nie pasują do stereotypowych naszych wyobrażeń.... Już powinny pękać... a tu nadal nic....

## **5 dzień. Wtorek. 14 czerwca**

Rankiem okazuje się, że zajęliśmy miejsce krowom, które przyszły na popas i są mocno zaskoczone naszą obecnością. I wice wersa. Choć one bardziej... Czarny, skośnooki jeździec na koniu też jest zaskoczony, i bacznie nam się przygląda z pobliskiego pagórka. Kiwamy do niego przyjaźnie aby rozładować sytuację.

Mamy trochę czasu, więc robimy mały porządeczek w zapasach. Dżozef przywraca do życia cały zapas suszonej kiełbasy, który lekko nam się spocił w zamkniętym worku foliowym. Po kąpieli, kiełbasa chwilę musi wyschnąć zanim wróci ponownie do skrzyni.

Zbliżamy się do Uralu. Zaczynają nas straszyć toalety w budkach z dziurą w podłodze i fetorem nie do wytrzymania. Od tej pory praktycznie można zapomnieć o sedesie. To są pewne uroki rosyjskich klimatów. Nowoczesna stacja benzynowa sieci Łuk-Oil, a toaleta w budce... Najdziwniejsze jest to, że kobiety i mężczyźni mają oddzielną kabinę... Ale w środku niczym się one nie różnią.... nawet smród jest ten sam...

Kolejna kontrola milicyjna. Nasze magiczne naklejki naprawdę działają. Wielokrotnie milicjanci są przekonani że jesteśmy misją naukowo-dokumentalną, i że robimy rzeczywiście coś ważnego. Nie wyprowadzamy ich z tego błędu. Przychodzi nam nawet

pomysł aby następnym razem wziąć jakąś starą używaną kamerę, byle dużą, która zawsze leżałaby na widoku i robiła "dobre wrażenie"...

Przemierzając te setki kilometrów tak zwanych "dupo-godzin", najczęściej odwiedzanym przez nas miejscem są wszelkiego rodzaju stacje benzynowe. Lejemy paliwo i wyduszamy odciski od wielogodzinnego i monotonnego siedzenia w autach.

Trochę irytuje nas, że w tej części świata najpierw trzeba zapłacić za przypuszczalną ilość paliwa jaką uda nam się wlać, a dopiero potem uruchamia się pompa w dystrybutorze. Wszystko byłoby ok, ale czasem nie wchodzi cała ilość i wtedy ponownie trzeba udać się do okienka po zwrot nadpłaty. Parę razy zdarzyło się, że obsługa nie miała drobnych aby nam wydać resztę. A może to dobry sposób na dorabianie do pensji...)))

Na Uralu Aśka nie może zatankować na stacji Łuk-Oil. Nie ma gotówki. A aby zapłacić kartą musiałaby podać kobiecie z obsługi swój pin. Na pytanie, dlaczego sama nie może wprowadzić pinu do czytnika, słyszy w odpowiedzi coś co nas szokuje. Owszem nowoczesne czytniki są już zainstalowane... ale nikt nie pomyślał o tym, aby powiększyć okienko, bo przez obecne nie da się przełożyć czytnika na zewnątrz. A o wejściu do środka w ogóle nie ma mowy... Ostatecznie, nie mając wyboru Aśka podaje swój pin do karty i tankuje paliwo. Ale do końca wyprawy nie będzie pewna, czy po powrocie nie okaże się że konto jest wyczyszczone...

Około godziny 16 przystajemy na przydrożnym parkingu. Krokodyl zachowuje się dziwnie. Nie ma mocy. Trudno go rozpędzić na piątym biegu. Podjeżdżając pod góry musimy redukować biegi nawet do jedyńki, aby się na nie wdrapać. Piszemy do polski sms-a o sprawdzenie objawów i jak temu zaradzić. Po godzinie przychodzi odpowiedź. Należy sprawdzić interkuler. Brzmi to dla nas enigmatycznie. Gdybyśmy jeszcze wiedzieli gdzie on jest i co z nim zrobić...

Kiedy robi się ciemno i chłodno, szukamy miejsca do spania. Niestety na całym Uralu nie wolno biwakować nigdzie na dziko. Informują o tym wielkie tablice, rozstawione przy bocznych drogach. Pozostaje nam tylko stojanka. Jazda po tych wąskich drogach po zmroku, pomiędzy kolumnami pędzących tirów przypomina walkę o życie. Czym prędzej zjeżdżamy na pierwszą napotkaną stojankę i zostajemy. Nie mamy wyboru.

## **6 dzień. Środa. 15 czerwca**

Ze stojanki zwijamy się bardzo szybko. W nocy zmarliśmy potwornie. Na termometrze tylko 8 stopni. Po kilkudziesięciu kilometrach około godziny 7 rano, docieramy do końca Europy. To symboliczne miejsce. Na sporej wielkości asfaltowym parkingu zastawionym tirami i straganami z wszelkim towarem, stoi wysoki totem. Czekamy na Bandytę. dziewczyny zagubiły się gdzieś na Uralu. Kiedy się zjawiają robimy sobie kilka pamiątkowych fotek.

Kiedy wjeżdżamy do Czelabińska, od razu na pierwszym skrzyżowaniu zostajemy

zatrzymani przez milicję uzbroją w broń długą. Zagadują nas jak nam się jechało i czy nie byliśmy przez nikogo zaczepiani. Czelabińsk podobno uchodzi za jedno z bardziej niebezpiecznych miast w Rosji. Milicjanci zalecają jazdę obwodnicą, bo tam przynajmniej panują nad sytuacją.

Kawałek dalej znowu czekamy na Bandytę... Kiedy dziewczyny się zjawiają, wnętrze ich pojazdu wygląda co najmniej dziwnie. Przy przesuwaniu fotela, jedna z dziewczyn nieopatrznie nacisnęła zawleczkę od gaśnicy leżącej za fotelem i cała jej zawartość wyleciała do kabiny.

Około godz. 14 docieramy do Jurgamyszu. Szukamy banku lub bankomatu, aby wymienić trochę pieniędzy. Tu odbijamy z głównej drogi na południe do wsi Krasnyj Uralec. Tam mamy przenocować u Tatiany. To wdowa po trzecznie zmarłym milicjancie, którego Rysiek poznał kilka lat temu i bardzo się zaprzyjaźnili.

Kiedy już jesteśmy w Krasnym Uralcu, nie możemy znaleźć tego domu. Ilość podobnych drewnianych domów rzeczywiście powoduje zamęt w głowie. Trafiają nam się miejscowe chłopaki na motorze, którzy wiedzą gdzie to jest i chcą nas popilotować.

Po chwili jesteśmy na miejscu. Pyszna kolacja i impreza do białego rana. Bania czeka uszykowana. Warunki nie są najgorsze. Ale ubikacja jak zwykle, w drewnianej budce na końcu gospodarstwa... Dom nie jest zbyt duży. My śpimy w samochodzie, ale dziewczyny mają wygodne łóżeczko w domu.

## **7 dzień. Czwartek. 16 czerwca**

O godz. 5 startujemy do Kurganu podwożąc jednego z synów Tatiany. Musimy załatwić sobie meldunek, choćby fikcyjny, więc zajeżdżamy do sporych rozmiarów gostinicy.

Mamy poczekać około 3 godzin. Ale w środku jest całkiem znośna toaleta, z umywalką i ciepłą wodą. Nie zastanawiając się długo doprowadzamy nasze ciała do porządku. W międzyczasie jedziemy jeszcze do centrum Kurganu, aby zakupić walutę. Kiedy już wszystko mamy, ruszamy dalej. Jesteśmy nad wierzchołkiem Kazachstanu. To miejsce w którym droga przez kilkadziesiąt kilometrów przebiega poza granicą Rosji, przez Kazachstan. My musimy objechać ten "cypel" dookoła przez Iszim. Objazd ten wynosi około 600 kilometrów.

Zasypiamy około 60 km przed Omskiem, na cudnej brzoźowej łące, która jest też chyba wylęgarnią wszystkich gatunków komarów dla wszystkich regionów Rosji. Wejście do namiotu bez natarczywych insektów graniczy z cudem i jest nielada sztuką.

## **8 dzień. Piątek. 17 czerwca**

Z uroczej wylęgarni zwijamy się w niewyobrażalnym tempie. Toaletę poranną zostawiamy sobie na później. Śniadanko też robimy dopiero 30 km dalej, nad maleńkim stawkiem, gdzie (o ironio!) też są komary, lecz już nie w takiej morderczej ilości.

Mamy trochę spóźnienia, więc bez większych postojów gnamy do przodu. Kierunek Omsk, Nowosybirsk. Syberia jest niesamowita. Ogromne, niezagospodarowane tereny, gigantyczne połacie pięknych, niekończących się lasów i pól stojących odłogiem. To niewyobrażalny majątek i bogactwo zasobów naturalnych. Nikt tego tutaj nie eksploatuje. Gdyby nie asfaltowa, całkiem ładna droga, można by mieć wrażenie, że to jest jeszcze przez nikogo nie odkryty, dziki ład.

W naszej historii Syberia zapisała się niezbyt szczególnie zaszczytnie, dziesiątki tysięcy Polaków zostało tutaj przymusowo zesłanych do ciężkiej i morderczej pracy przez komunistyczny radziecki aparat represji. Osiedlano ich głównie w obwodach: Omskim, Nowosybirskim, Kraju Krasnojarskim i Kraju Ałtajskim. Tysiące z nich nigdy już nie powróciło do swoich domów.

Kiedy z głupia frant zjeżdżamy do małej wioski aby zrobić zakupy spożywcze nie możemy się nadziwić instalacjom gazowym, ulokowanym nad powierzchnią ziemi. Przypomina to pajęczynę żółtych nitek powyginanych w przedziwne kształty, w zależności od tego czy akurat do danej posesji jest brama wjazdowa, czy nie. Wówczas rurki tworzą coś w rodzaju wrót unosząc się wyżej. Potem zaraz opadają niżej opierając się na niezliczonej ilości podpórek. Dla nas to taki inny świat...

Ruch na tej strategicznej i właściwie jedynej drodze na wschód zmaleł praktycznie do zera. Trafiają się wielokilometrowe odcinki, kiedy nie mijamy żadnego pojazdu jadącego w przeciwnym kierunku.

Nocujemy nad dziko porośniętym jeziorem, na stanowisku wędkarzy. Stoliczek, ławeczki, daszek, a nawet stary metalowy piecyk na którym gotujemy kolację. Wszystko idealnie. Tyle tylko, że wylęgarnia komarów podróżuje chyba wraz z nami. Cały zapas środków przeciwko insektom na niewiele się zdaje. Powstrzymuje ataki zaledwie na kilka minut. Kiedy środek odparowuje, ponownie jesteśmy bezlitośnie atakowani.

## **9 dzień. Sobota. 18 czerwca**

Godz. 8. Nowosybirsk. Rzeka Ob. Najpotężniejsza, jaką w swoim życiu widzieliśmy. Wisła przy niej to rzeczka nie robiąca większego wrażenia. W miejscu gdzie przekraczamy Ob, czyli na wielkim moście który jest też gigantyczną tamą, jego szerokość sięga dwóch horyzontów. Sam most ma kilka dobrych kilometrów. Ilość wody która przepływa pod nami jest nie do wyobrażenia.

Wreszcie docieramy do Ałtajskiego Kraju. Na drogowskazach pojawia się już Tazanta, czyli przejście graniczne z Mongolią - 909 km. W powietrzu rzeczywiście unoszą się już dziwne azjatyckie klimaty. Słyszeliśmy o nich, ale nikt tak naprawdę nie potrafił sprecyzować na czym to polega. Ale faktycznie czujemy się jakoś inaczej.

Krajobrazowo przypomina trochę naszą Kotlinę Kłodzką. Pięknie porośnięte zielonymi dywanami niewielkie i łagodne pagórki... Małe zaludnienie. I duże przestrzenie. Na wszystkich dachach nadal króluje nieśmiertelny i szkodliwy eternit. Na jednym z



przydrożnych parkingów, jesteśmy świadkami przedziwnej sceny. Pośród zaparkowanych samochodów odbywa się impreza taneczna. Sądząc po strojach jej uczestników, to impreza weselna. Jest pani młoda w ślicznej białej sukni i cała rzesza pań elegancko odzianych. Wszystkie panie pływają w rytmie wydobywającej się skądś muzyki. Panowie natomiast degustują jakieś napoje z tajemniczych kubeczków stojąc na uboczu.

Ałtaj jest zadziwiający. Górzysta, syberyjska ziemia wciśnięta między Kazachstan, Chiny i Mongolię. To niezwykła kraina kurhanów, szamanów i tajemniczych zjawisk. Nawet carski i komunistyczny ucisk nie zdołał zabić mistycznej duszy jej mieszkańców. Przodkowie tego małego narodu osiedli na Ałtaju w średniowieczu. Po kilku wiekach burzliwej historii w drugiej połowie XVIII stulecia region ten został wcielony do Rosji. Ale całe lata rusyfikacji nie zdołały wynarodowić ałtajczyków, którzy nadal używają własnego języka, przywiązani są do swoich tradycji, a ważną rolę w ich życiu nadal odgrywa instytucja szamanów. Misteria szamańskie po dziś dzień odbywają się w najbardziej niedostępnych rejonach. W zachodniej części Ałtaju spotyka się przy drogach, głównie na górskich przełęczach drzewa szamańskie obwiązane setkami wstążek, które miejscowa ludność zawiązuje na gałęziach jako wota ofiarne. Na wschodzie zaś, spotyka się kultowe ule, czyli stopy usypane z kamieni. Nie bez powodu Ałtaj jest nazywany perłą Azji. To region pod względem ekologicznym prawie nie skażony. Posiada niespotykane walory krajobrazowe. Na wielu ałtajskich szczytach jeszcze nigdy nie stanął człowiek. To prawdziwy raj dla turystów.

Widok swobodnie hasających dużych stad koni po głównej drodze nikogo tutaj nie dziwi. Nas jednak nadal zaskakuje. Trzeba też na nie bardzo uważać, nieprzygotowany kierowca może się wystraszyć ich spontanicznym i nieprzewidywalnym zachowaniem. Po drodze przystajemy w małej wiosce aby zawitać do sklepiku. Chyba trafiamy na zakończenie roku szkolnego, bo po wiosce pomykają młode chłopaki w białych, wykrochmalonych i wyprasowanych koszulach z butelkami wina w ręku. Kawalek dalej ulegamy urokowi rzeki, która precudnie wiję się pomiędzy górkami trzymając się cały czas naszej szosy. To Bija. Wyływa z jeziora Teleckiego nad które jedziemy. Jest dzika, kamienista, energiczna i... piękna...

O godz. 20 wjeżdżamy do Artybaszu nad jeziorem Teleckim. To tutaj ma się zacząć nasza przygoda z przeprawą przez to niesamowicie piękne i wielkie jezioro. Wszystko zależy od tego, czy łajba o wdzięcznej nazwie Bielka jeszcze pływa. Tylko ona była w stanie wziąć dwa auta naraz na swój pokład. Rysiek pięć lat temu przemierzał już tę trasę i wówczas korzystał z tego środka transportu.

Zajeżdżamy wpierw na przystań, gdzie cumują podobne łodzie.... ale Bielki nie ma wśród nich. Nikt też nie może nam udzielić dokładnych informacji. Pytamy ponownie przypadkowo napotkanych ludzi. Wskazują nam jeden adres. Zajeżdżamy na plażę.

Bingo. Jest Bielka, i wygląda dosyć przyzwoicie. Na plaży poznajemy kilku imprezujących rosjan, którzy błyskawicznie zostają naszymi przyjaciółmi. W dowód przyjaźni wciskają nas w kapoki i ładują na skuter wodny. Przejażdżka z prędkością 100

km zatyka nam dech w piersiach. Kiedy zaczynają zbyt mocno się popisywać, skuter wywraca się i Małgosia wpada do lodowatej wody. Musi dopłynąć do brzegu o własnych siłach. Po chwili od rosjanek dostaje leczniczą setkę wódki na rozgrzewkę.

Dwadzieścia metrów dalej wjeżdżamy na podwórze, pod dom w którym będziemy nocować. Warunki nie najgorsze. Wygodne łóżka, umywalka z bieżącą wodą... Tylko ubikacja jak zwykle... w wychodku. Nie wiadomo skąd zjawiają się jeszcze jacyś obwoźni handlarze, oferujący zestawy ziół zbierane przez ich rzekomą babcię. Nie kupujemy tej wzruszającej bajki, ale za to kupujemy jedną paczkę cudownej herbatki za pięć dolarów, która notabene okazuje się całkiem smacznym zestawem ziół.

Atmosfera jest bardzo sympatyczna. Impreza się rozkręca. Trzeba jeszcze pospawać tylni kufer, który nam się oderwał od karoserii.

Noc w Artybaszu jest przyjemna, cicha i spokojna. Poza jednym nocnym incydentem z naszymi zaprzyjaźnionymi rosjanami z plaży, który sprawia że musimy wcześniej rano w ekspresowym tempie z tego miejsca się ewakuować. I cudem unikamy tęgiego lania.

## **10 dzień. Niedziela. 19 czerwca**

Wstajemy wcześniej rano. Poranne mgły są czarujące. Unoszą się nad taflą jeziora niczym nocne zjawy. Bielka rozgrzewa już silniki. Szykujemy się do wjazdu na pokład, co nie jest rzeczą wcale prostą. Pokład jest dosyć wysoko, i wjazd możliwy jest tylko po wąskich i śliskich deskach. Żenia przygotowuje wszystko jak najlepiej potrafi. Ale pierwsze próby wjazdu na pokład okazują się nieudane. Rysiek po wczorajszej imprezie jest mocno niedysponowany i nie da rady podjechać. Za rulą siada operator kamery, czyli ja.

Pochył jest tak mocny, że kufrem z tyłu zbieramy błoto z plaży. Ale nie ma innego wariantu. Załączamy napęd na 4 i równym wolnym tempem wspinam się po deskach na pokład. Co do kierunku jazdy polegam tylko na wskazaniach Żeni. Z kabiny Krokodyla bowiem nie widać desek po których jadę.

Po chwili Krokodyl jest na pokładzie. Zaraz za nim lokuje się Bandyta. Aśka wjeżdża bez najmniejszego problemu. Parkujemy jak najbliżej siebie aby można było zamknąć właz. Po chwili Bielka odbija od brzegu. Sympatyczna Julia, właścicielka domu w którym nocowaliśmy też przychodzi nas pożegnać.

Rozpoczynamy kilkugodzinny rejs przez niesamowicie piękne, otoczone wysokimi i dzikimi górami jezioro Teleckie. Ma długość prawie 80 km, szerokość dochodzi do 5 km, a głębokość sięga nawet do 325 m. Jest wąskie i długie. Przypomina odwróconą literę L. Otoczone jest niedostępnymi, stromymi górami, których szczyty dochodzą nawet do 2000 mnpm, porośniętych lasami cedrowymi. Na szczytach widać czapy śnieżne. Wypływa z niego aż 70 rzek. Na dnie znajduje się strefa afotyczna, to znaczy że światło nie dociera do jałębiej położonych warstw dna, uniemożliwiając rozwój roślinności.

Niestety ta piękna okolica, ma też swoją ciemną stronę. Podobnie spadają tu części od

rakiet odpalanych z Bajkonuru. Pierwszy człon rakiety jest przewidziany na zatopienie właśnie gdzieś w tych okolicach. Mieszkańcy twierdzą, że od potopionego paliwa raketowego wśród mieszkańców wzrasta zachorowalność na raka. Żartują też, że często trzeba patrzeć do góry aby coś nie spadło na głowę.

Rejs dostarcza nam niesamowitych wrażeń. Błoga cisza zakłócona jedynie monotonnym warkotem disesłowskiego silnika Bielki. Szum fal i chłodny wiatr smagający nas po twarzach. Aby posiedzieć na dziobie łodzi musimy odziać się w najgrubsze polary, zaciągnąć kaptury i zapakować się w wiatroszczelną plandekę. Mimo tych kilku godzin wydawałoby się monottonnych, jest uroczo. Kontemplujemy w ciszy to wszystko co nas tu otacza. Kiedy mijamy środkową część jeziora, tę najbardziej niedostępną, jesteśmy zszokowani, że są jeszcze tak piękne miejsca na ziemi.

Żenia jest bardzo małomówny. Praktycznie nie wychodzi ze swojej kabiny. Jeśli ktoś z nas do niego nie zagada, to praktycznie się nie odzywa. Buszujemy swobodnie po całej łodzi robiąc film i zdjęcia. Dżozef próbuje nawet złapać jakiegoś stwora na wędkę, ale niewiele z tego wychodzi. A może tylko pozuje do kamery kiedy widzi że filmuję...:)

Szykujemy się do lądowania w południowej części jeziora. Teraz będziemy się przebijać przez około 160 kilometrów przez najbardziej urokliwe, malownicze i dzikie tereny Ałtaju, aż do Czujskiego traktu, czyli głównej drogi do granicy z Mongolią.

Zjazd z pokładu okazuje się jeszcze bardziej skomplikowany niż podjazd. Pierwsza próba, tylko po otwartym trapie nie jest możliwa. Pochył jest zbyt mocny. Aśka w Bandyce urywa dwie lampy umieszczone z tyłu nisko pod zderzakiem. Ponownie układamy deski. Pół godziny później jesteśmy już na plaży. Rozliczamy się z Żenią (dostaje 1000 zł w rublach) i szykujemy się do dalszej jazdy. Na plaży poznajemy ekipę sympatycznych rosyjan, którzy autami terenowymi wożą turystów po Ałtaju. To ich sposób na życie. Siedzą tu cały czas i jest im dobrze. Będziemy ich jeszcze spotykać kilka razy na tej trasie.

Droga przez cały czas jest szutrowa, z ostrymi kamieniami. Trzeba uważać, by nie przebić opony. Jazda po takiej drodze jest mocno uciążliwa dla uszu. Hałas jest dosyć spory. Ale widoki jakie się przed nami rozpościerają, rekompensują z nawiązką wszelkie niedogodności.

Po drodze ulokowane są niewielkie osady, które sprawiają wrażenie jakby Bóg o nich zapomniał.

### **Godz. 14. Bałykcza.**

Założona w XVII wieku. Drewniana, rozpadająca się zabudowa. Krzywe, stare płoty. Kilkanaście domów i trochę zwierząt pasących się w okolicy. W środkowej części, ładnie odmalowany na żółto, z niebieskim dachem meczet. Zaraz obok niewielki sklepik z bardzo ubogim asortymentem. Sielskij Dom Kultury z oknami zabitymi deskami i bez drzwi wejściowych. Odpadająca z niego farba była chyba kiedyś, w czasach jego świetności, jasnoniebieska. Przygnębiający to widok, ale jakże prawdziwy dla rosyjskiej

rzeczywistości. Kawalek dalej niewielki placyk za to z wielkim, monumentalnym ale koszmarnym pomnikiem, poświęconym ofiarom Ocieczestwiejnej Wojny 1941-1945. Przypomina gigantyczną metalową sztabę wbitą z impetem w ziemię. Sierp i młot jako obowiązkowy ozdobnik. Zaskakujące, że w tak niedostępnym miejscu pobrzmiwają jeszcze echa tak odległej wojny. Jakim cudem dotarł tutaj front?

Nieuchronne jest wrażenie ogólnie panującego tu rozgardiaszu i chyba wielkiej biedy. Ale ma to też swój niepowtarzalny nigdzie indziej urok. W końcu po to, też przejechaliśmy te kilka tysięcy kilometrów, aby właśnie taki klimat zobaczyć i poczuć. Jedziemy dalej. Musimy trzymać spory dystans pomiędzy autami bo w powietrze wzbijają się tumany kurzu, a przy otwartych wszystkich oknach jest to dosyć niebezpieczne dla naszego sprzętu fotograficznego. Przy drodze wielka niespodzianka. Plantacja marihuany rozciągająca się na przestrzeni kilkuset metrów. Idealne miejsce dla gangów narkotykowych, ale jakoś nikt się tym tutaj nie interesuje, poza nami. Urywamy sobie symbolicznie po jednym liściu, choć nie jesteśmy amatorami tego typu naturalnych używek. Jak już mamy się znieczulić, to wolimy piwo lub żubrówkę.

Otoczający nas krajobraz jest teraz niesamowicie zmienny. Od prawie że pustynnej drogi po równinie, otoczonej dookoła wysokimi pasmami gór, poprzez gęsto porośnięte lasy brzoźowe i cedrowe. Cały czas poruszamy się wzdłuż rzeki Czuluşzman. Mijamy dziesiątki małych, drewnianych mostków przerzuconych przez niewielkie strumienie czystej, górskiej wody. I żadnych zabudowań. Czy tak może wyglądać koniec świata?

Czuluşzman nie jest tu jakoś specjalnie wielki, ale ma dosyć wartki nurt i jest mocno usiany kamieniami i do tego niebywale malowniczy. Widać że woda ma tu niesamowitą siłę i energię. Gdzieś, za którąś górą z rzędu, pojawiają się konie i owce. Popasają się w pobliżu aktualnie piaszczystej drogi, ciesząc nasze oczy i nasze obiektywy. Przez chwilę niczym zjawa, nie wiadomo skąd, pojawiają się trzy ałtajskie dziewczyny na jednym koniu. Uśmiechając się do nas zalotnie błyskawicznie znikają w czeluściach syberyjskiej tajgi. Nie zdążyliśmy nawet ich zagadać o byle co. Tak dla samej zaczepki. Wydawały się sympatyczne.

Godz. 17. Następna niewielka osada to Koo. Podobnie jak w poprzedniej, ledwo trzymająca się pionu drewniana zabudowa i tym razem prawosławna cerkiew, jako najładniejszy budynek w centralnym miejscu wioski. Niebieskie cebulaste hełmy na wieżach lśnią nowością. Wszystkie pozostałe dachy mogą im tylko szczerze pozazdrościć. Jedyne człowieka jakiego mijamy, to mały i bosy chłopiec bawiący się na żwirowej ulicy. Nawet nie zwraca na nas uwagi. Jest pochłonięty przesypywaniem piasku. Żadnych zabawek w pobliżu nie widzimy.

Nocujemy na płaskiej półce porośniętej gęstą trawą, nad samym brzegiem Czuluşznanu. Ognisko i kilka drinków, tak dla zdrowotności. Toaleta wieczorna w lodowatej wodzie nie należy do zbyt przyjemności. Raczej do konieczności. W oddali widzimy jakiś drewniany nowy budynek. Deski z których został zrobiony nie zdążyły jeszcze ściemnieć. Dla pewności idziemy się zorientować, czy przypadkiem nie rozbijamy się na terenie prywatnym. Poznajemy sympatycznych drwali, którzy prowadzą

tu wycinę drzew i spławiają je rzeką. Dziwne. Nie widzimy tu żadnych maszyn służących do tego. Ani nawet jednego ściętego pnia. Może dopiero zaczynają prowadzić ten biznes, a może po prostu przytakują na wszystko co się do nich mówi, nie wiedząc nawet o czym mowa. W sumie to nawet nie ma dla nas znaczenia. Nic nam przecież nie grozi. W końcu jest nas pięcioro. Najważniejsze, że na pytanie o postawienie namiotów też kiwają głowami na tak.

Przez przypadek okazuje się, że nie mamy żadnych świateł w Krokodylu.

Nadchodzi kolejna noc poza krajem, którą przyjdzie nam spędzić w tajemniczym i dosyć niesamowitym miejscu. Noc na Altaju...

## **11 dzień. Poniedziałek. 20 czerwca**

W powietrzu unosi się wilgoć. W nocy padał deszcz. Niebo jest zachmurzone. To niedobrze. Mamy przed sobą do pokonania wysoką przełęcz Katu-Jaryk, a podczas deszczu wąska droga może być niebezpieczna, śliska i trudna do pokonania. Rano przychodzi jeszcze "sąsiad drwał" z synem aby chwilę z nami pogadać. Grzecznościowa wymiana uścisków i pakujemy wszystkie manatki do samochodów. Jesteśmy na wysokości 800 mnpm. Czułyszman staje się coraz szerszy i bardziej narowisty. Jego fale obmywają duże ilości sporych kamieni pieniać się przy tym niesamowicie.

Zatrzymujemy się nad przepięknym wiszącym, drewnianym mostem, umocowanym na stalowych linach. Jest uroczy. Na pierwszy rzut oka wygląda jak eksponat muzealny, którego nie należy dotykać. Takie mosty ogląda się na filmach z Indiana Jonsem. Ale to tylko pierwsze wrażenie. Przy odrobinie uwagi można się na nim zupełnie spokojnie przemieszczać. Podziurawiony jak sito... Pozaklejany łatami z desek. Po prostu stary, bardzo fotogeniczny, wiszący most przez Czułyszman.

O godz. 13 docieramy do przełęczy Katu-Jaryk. To 3,5 kilometra wąskiej szutrowej drogi wspinającej się trawersem po zboczu góry. O niebezpieczeństwie czyhającym na nierozważnych kierowców informuje tablica umieszczona u podnóża przełęczy, ale także wraki rozbitych samochodów zalegające dolinę porośniętą gęstymi krzakami.

W dole znajduje się Tur-Stojanka, czyli kilka drewnianych charakterystycznych domków do wynajęcia, wychodek i woda źródłana tryskająca spod ziemi.

Ruszamy do góry. Pierwszy wspina się krokodyl. Powolnie, na jedyńce przy włączonych napędach na 4 i blokadzie dyferencjału. Silnik wyje na wysokich obrotach, ale ciężkie auto sukcesywnie posuwa się naprzód. podjazd trwa około 40 minut.

Widok jest przedni. Od przepaści dzieli nas tylko metrowej szerokości pas kamieni. Jesteśmy na wysokości chmur. U góry GPS pokazuje 1730 mnpm. Przyroda zmienia tu swe oblicze diametralnie. Staje się gęsta i soczysto zielona. W końcu to środek syberyjskiej Tajgi.

Przy wjeździe do osady Bałyktujuł ponownie Bandyta z dziewczynami na pokładzie ginie

nam z oczu. Przejeżdżamy przez wioskę bez zatrzymywania i przy wylocie czekamy.

I znowu najładniejszym budynkiem górującym nad osadą jest prawosławna cerkiew z błyszczącym niebieskim dachem i cebulastym hełmem. Ta jest wyjątkowo ładna. Drewniane ściany tworzą zgrabną kilkuczęściową bryłę. Nad wejściem okrągłą drewniana rozeta.

Kiedy przebijamy się przez dosyć bezludny odcinek Tajgi zaczyna się mocna ulewa. Widoczność jest mocno ograniczona. Wycieraczki pracują bez przerwy.

Wtedy ulegamy zbiorowej halucynacji... Ale tej marychy nie paliliśmy... Na drodze pojawiają się konie. Wielkie stado liczące kilkadziesiąt osobników dużych i małych. We wszystkich kolorach. Pedzą w tym samym kierunku co my i ani myślą ustąpić drogi. To niesamowite uczucie. Jesteśmy zachwyceni tym widokiem, choć nie mamy pewności czy to aby nie jest przywidzenie.

Pierwotnie mamy wrażenie że stado jest dzikie. Ale po chwili dostrzegamy, że wszystkie konie mają nowe, jeszcze błyszczące podkowy... Więc jak to jest... czyje one są, kto jest w stanie je tu upilnować... Dokąd one wedrują... Wszakże jesteśmy w gęstym lesie, który ciągnie się od dobrych kilkudziesięciu kilometrów, a w pobliżu nie ma żadnych zabudowań... Doprawdy dziwne... Tak czy siak, scena tak jest niespotykana w naszej części świata... tym bardziej jesteśmy nią zauroczeni... Tak jak niespodziewanie się pojawiły, tak samo niespodziewanie zniknęły w otchłaniach syberyjskiej Tajgi...

Nieuchronnie zbliżamy się do granicy z Mongolią.

### **Godz. 17. Ak-Tasz.**

Kolejne drewniano-westernowe senne miasteczko. Chwilami mamy wrażenie, że mijane przez nas osady są opustoszałe. Nie spotykamy żadnych mieszkańców, nikogo nie ma na ulicach. Jedynie w sklepiku z prostymi częściami samochodowymi jest niezbyt sympatyczna pani. Po bokach drogi porzucone wraki samochodów sprawiają posępne wrażenie. Jakby przetoczył się tędy jakiś huragan. Ogólnie panujący bałagan. Przy wjeździe prosta bryła drewnianego meczetu w kształcie kwadratowego klocka z niewielką wieżyczką pośrodku, koegzystuje z prawosławną cerkwią z błyszczącym dachem...

Na znaku drogowym informacja, że w miasteczku jest milicja, i numer telefonu.... 020 !

Na stacji benzynowej postanawiamy zatankować wszystkie plastikowe baniaki, które mamy na dachu... Nie wiadomo jak dalej będzie z paliwem...

Droga wiodąca do ostatniej miejscowości przed granicą wygląda jak droga na koniec świata. Kompletnie pusta, wijąca się pomiędzy wysokimi, soczyście porośniętymi trawą, górami. Ładny, równy asfalt, wymalowane pasy i znaki drogowe. I ani żywej duszy. Tylko nasze dwa pojazdy...

I tu niespodziewanie po raz pierwszy możemy poczuć powiew mongolskich klimatów.

Zaraz przy drodze hasają sobie dzikie wielbłądy. Stoją kilka metrów od nas. Pozwalają się fotografować i z zaciekawieniem nam się przyglądają...

## **Godz. 22. Kosz-Agacz. Ostatnie miasto przed granicą.**

Jest ciemno i późno. Chcielibyśmy wynająć tu pokoje w jakiejś gostinicy. Po kilkunastu minutach poszukiwań zajeżdżamy pod spory drewniany dom, który jest akurat w trakcie rozbudowy. Robotnicy, którzy właśnie skończyli w nim prace remontowe, zapewniają nas że w środku są gotowe i urządzone pokoje i będziemy zadowoleni. Dzwonią po właściciela, który zjawia się błyskawicznie. Chwilę się targujemy o cenę i oglądamy pokoje.

Kiedy tak rozmawiamy, niespodziewanie z głośników całej osadzie rozlega się głos muezzina, wzywający do nocnej modlitwy zwanej isza'a... Wydaje nam się, że głos odtwarzany jest z taśmy, jest monotony i zbyt mechaniczny. Ale i tak robi na nas niemałe wrażenie.

W gostinicy jest dobrze. Czysto, ładna nowa pościel. Łazienka z sedesem, prysznicem i ciepłą wodą. Nie ma sprawy. zostajemy.

## **12 dzień. Wtorek. 21 czerwca**

Zbieramy się wyjątkowo bez pośpiechu. Jest piękne słońce. Robimy szybki rekonesans przez miasteczko i dolewamy paliwa na skromnej stacji benzynowej.

Po godzinie jesteśmy w Tazancie. Wysokość 1916 mnpm. To historyczna chwila. Po dwunastu dniach ciągłej jazdy jesteśmy na granicy z Mongolią. Musimy godzinę poczekać, przejście jest jeszcze nieczynne.

To trudne do określenia, ale czujemy coś dziwnego w powietrzu. Ta niesamowita odległość od naszych domów i rodzin... I to miejsce, zagubione gdzieś wśród wysokich surowych gór... I tylko my, trzech facetów i dwie kobiety w dwóch samochodach, które są teraz naszym domem, stołówką, sypialnią, kuchnią i wszystkim co mamy...

Dwunasty dzień, a dziewczyny nadal ani razu nie marudziły. Jesteśmy nawet trochę tym faktem zaniepokojeni... Czy to aby możliwe, że tak wszystkie trudy i niedogodności im odpowiadają i znoszą je tak samo jak my... Przecież to my jesteśmy tym twardszym i bardziej odpornym gatunkiem. Jak to w ogóle jest możliwe, że te dwie drobne dziewczyny to wszystko wytrzymują... Chyba przyjdzie nam zreflektować swój pogląd w tej kwestii. Ale zreflektować przed samym sobą to jedno, a przyznać się na głos to już o wiele trudniejsze. Ale póki co zaczynamy być pełni podziwu...

W aucie stojącym w kolejce przed nami dwoje mongolskich dzieci gra przepiękną melodię na instrumentach przypominających bałajki. Robią to w tak czarujący sposób, że Małgosia nie potrafi się opanować i zaczyna pływać w rytmie tej muzyki. Przyłącza się do niej przystojny tata tych dzieci i jakaś obca kobieta czekająca w kolejce na odprawę. Widok to przedziwny i niesamowity. A jednak jakaś dziwna magia już zaczyna na nas

oddziaływać...

Wreszcie zaczynamy odprawę. Po pokonaniu formalności wjeżdżamy do dziwnej przestrzeni zwanej ziemią niczyją. To pas ponad dwudziestu kilometrów, który dzieli obie granice.

Jeszcze ostatnie spojrzenie za siebie i definitywnie żegnamy zaskakującą ale i urzekającą Rosję... Niemniej szokujące będzie to co ujrzemy za kolejnym szlabanem...

\*\*\*

## **Część 2.**

### **Mongolia, czyli miejsce gdzie tak naprawdę czas się zatrzymał...**

Opada za nami szlaban mongolskiej granicy. Więc to już! To jest ta chwila na którą czekaliśmy bez mała rok czasu, i do której dążyliśmy, gnając przez dwanaście dni i ugniatając dolne części ciała w fotelach krokodyla. Mongolia. Każdy zapewne wyobrażał sobie ją inaczej. Ale nikt tego nie mówi głośno. Nie jest łatwo okazywać wzruszenie w gronie samych facetów. Lepiej przetrwać to w sobie. Tylko ja nie potrafię ukryć zachwyty i emocji.

Tuż za szlabanem, jakby za dotknięciem ostrego, tapicerskiego noża krajobraz odmienia się całkowicie. Jakby granicę wytyczony specjalnie na połączeniu dwóch odmiennych światów. Gigantyczna przestrzeń i mało zieleni. Właściwie, to nie ma jej tu wcale...

Niewielka ilość parterowych budynków pozlepianych z gliny i jakiegoś lokalnego budulca. Do tego coś na wzór barakowozu, mającego lata swojej świetności daleko za sobą, z wielkim napisem Shop Hotel Acxana Cafe. Czy to reklama, czy już sam hotel? W sumie to bez znaczenia. Jedno i drugie działa na nas odwrotnie. Przy całej mojej plastycznej wyobraźni, nawet nie próbuję sobie uzmysłowić smaku kawy serwowanej w tym przybytku.

Chwilę trwa, zanim wtopimy się w skrajnie inną, szokującą rzeczywistość. Ruszamy od razu w trasę, bo zaczynają się do nas schodzić umorusane dzieciaki wyciągające



błagalnie ręce. Widać że robią to już zawodowo. Zjawiają się też dorośli, którzy teatralnie podziwiając nasz pojazd zdają się na coś czekać...

O dziwo, od granicy ciągnie się przez kilkadziesiąt kilometrów całkiem przyzwoity asfalt... Zdajemy sobie sprawę, że ta przyjemność nie będzie trwała wiecznie. W trakcie przygotowań podziwialiśmy mongolskie widoki pozbawione dróg, ale ujrzeć to na własne oczy to już doznania z wyższej półki.

Te pierwsze kilometry przygraniczne powodują ostry szok dla przysadki mózgowej. Tak gigantycznych i nieskończonych przestrzeni nie ma chyba nigdzie indziej na świecie.

Ajmak Bajan Olgii. Dzieli granicę z Rosją i Chinami. Jest najwyżej położonym ajmakiem w Mongolii. Zaledwie 10% tego regionu porośnięte jest drzewami. To bardzo mało. Dominuje krajobraz stepowy, bez jakiegokolwiek roślinności. To tu poluje się przy pomocy wyszkolonych orłów, o czym piszą wszystkie przewodniki turystyczne. Mieszkają tu przede wszystkim Kazachowie. Są pod silnym wpływem islamskich tradycji. W centrum miasta mają swój meczet. Język mongolski jest tylko językiem urzędowym i używany jest bardzo sporadycznie.

Pierwszy postój robimy dopiero przy pierwszym napotkanym owo, na samym szczycie wysokiej góry. Jest zimno. Wieje silny wiatr. Nie chce nam się nawet wysiadać z ciepłego samochodu. Ale musimy. Odziani w polary i kurtki szukamy ustronnego miejsca.

Z "tym" miejscem to jest mały problem. Właściwie duży. Roślinności praktycznie zero, a górki łagodne i gładziutkie jak dywanik. W tej kwestii też musimy poprzestawiać swoje myślenie. Potrzeby załatwia się od tej pory wtedy kiedy jest okazja, a nie wtedy kiedy się "chce".

Chwilę musimy się oswoić z tą nową rzeczywistością. W takim kraju jak ten przez większość drogi jesteśmy zdani tylko na siebie. Rzadko kiedy będziemy mijać jakieś pojazdy. Poza terenami zamieszkałymi, nikt nam nie udzieli ani pomocy, ani informacji. Takie odcinki mogą mieć nawet po kilkaset kilometrów. To nie Krowie Dołki koło Pacanowa, gdzie jak się skończy woda to wpadasz do sklepu i kupujesz co chcesz. O wszystkim trzeba pomyśleć i pamiętać zawczasu i mieć tego sporo w zapasie.

#### **Godz. 14. (7 rano w Polsce). Olgii. Wys. 1679 mnpm.**

Wjeżdżamy do jednego z większych miast na naszej trasie. Nie wiem jak inni, ale ja nie umiem jeszcze się oswoić z tak odmienną urbanistyką miast mongolskich od naszych europejskich. Tu wszystko jest inaczej. Całe miasto składa się z parterowych, płaskich, pobielonych, klockowych domków otoczonych wysokimi płotami, albo z betonu albo z drewna. Wszystko razem tworzy dziwny, niepokojący chaos i nieład. Trochę przypomina zaniedbane ogródki działkowe z lat siedemdziesiątych, na których trzymało się wszelkie graty niepotrzebne w domu.

Do białych klocków-domków nierzadko przyklepione są pseudodobudówki wykonane z

małych gliniastych cegiełek z minimalnymi "otworami strzelniczymi..." Na domiar estetycznego koszmaru, na dachach suszą się ogromne ilości krowich odchodów, które służą tutaj jako znakomity i jedyny materiał opałowy. Podobno nie wydzielają podczas spalania żadnego przykrego zapachu, no i jest ich tutaj pod dostatkiem... za darmo.

Centrum miasta wygląda już odrobinę lepiej. Asfaltowe ulice z wymalowanymi pasami i znakami drogowymi. Ale maszerujące krowy i konie i tak ich nie przestrzegają. Budynki trochę wyższe, w stylu naszych czworaków popegeerowskich, a niektóre nawet mają ozdobne portale i kolumny. Najczęściej są to budynki urzędowe albo banki. A przed nimi potrafią być przywiązane konie, niczym na kultowej scenie z Siedmiu Wspaniałych. A zaraz obok jurta. Sporo jest też luksusowych samochodów. Głównie błyszczące czarne Toyoty z kierownicą po "prawej".

Po wymianie pieniędzy w banku, ruszamy ponownie na step. Kierujemy się na południe, do następnego ważnego miasta o nazwie Khovd. Zaczyna nam się podobać swoboda podróżowania po mongolskich bezdrożach. Nie ma tu żadnej policji, żadnych ograniczeń, żadnych znaków drogowych. Natężenie ruchu przypomina początkowe lata motoryzacji ubiegłego wieku... Niebezpieczeństwo kolizji z innym pojazdem jest chyba nawet nie zerowe, ale ujemne. Chwilami powątpiewamy, czy obowiązują tu jakiegokolwiek zasady ruchu.

### **Godz. 17. Jezioro Tolbo.**

Leży na wysokości 2080 mnpm. Ma lodowatą, ale za to krystalicznie czystą wodę. I jest potężne. Kiedy podjeżdżamy od strony północno-wschodniej, jesteśmy jedynymi żywymi istotami nad tym cudem natury. To niesamowicie piękny akwen wodny. Mongolskie jeziora są jakieś inne niż nasze, polskie. Pozbawione jakiegokolwiek roślinności, wyglądają ubogo. Jak po katastrofie ekologicznej. Ale to tylko złudzenie. W rzeczywistości są nieskazitelnie czyste. Trochę jak wielka kałuża otoczona hałdami kopalnianymi. Ale swą wielkością wprawiają każdego widza w zachwyty.

Nad brzegiem, tuż przy drodze wykuty w kamieniu pamiątkowy obelisk, poświęcony komunistycznej rewolucji mongolskiej z lat trzydziestych. Z gwiazdą, sierpem i młotem. I mądrą, aczkolwiek dla nas niezrozumiałym przesłaniem na temat rewolucji. Zadziwiające, że tyle lat po upadku komunizmu, te relikty niechlubnej przeszłości nikomu tutaj nie przeszkadzają.

Wyciągamy jedyną papierową mapę, aby uzupełniała ubogą nawigację garminowską. Moja nawigacja z turystycznymi mapami Mongolii nadal jest martwa. Tak naprawdę od teraz możemy tylko się przemieszczać bardziej na azymut, niż według mapy. Wybieramy punkt w nawigacji i zmierzamy do niego. A jaką drogą, to już kwestia drugorzędna. Byle w dobrym kierunku. Jak bardzo błędne jest to myślenie, przekonamy się już niebawem.

Jest zimno. Na termometrze 8 stopni. Wysokość też robi swoje. Około 2500 mnpm. Ciepłe polary i skarpety wreszcie się na coś przydają. Zaczynamy się rozglądać za

sympatycznym miejscem do spania. To ma być nasza pierwsza noc w tym niesamowicie magicznym kraju. Wieczór nadchodzi bardzo szybko. Właściwie nie zauważamy kiedy tak naprawdę robi się szaro.

Odbijamy w bok nad widoczne w oddali jezioro i chowamy się za niewielkie skałki. Rozbijamy obóz. Niebo rozpala się niesamowitym czerwonym płomieniem rozlewając się po horyzont. Przed zaśnięciem udaje nam się jeszcze zaobserwować dziwne zjawisko na niebie. Po nieboskłonie przesuwa się wielki świecący, okrągły punkt i po kilku sekundach ginie za gęstymi chmurami. Przez dłuższą chwilę nie potrafimy sobie wytłumaczyć tego co widzieliśmy. Kula była wielka, otoczona mglistą, świecącą poświatą. Zupełnie jakby piorun kulisty przesuwał się poziomo po niebie. Jesteśmy wstrząśnięci, ale widzieliśmy to wszyscy, więc nie jest to wynikiem przemęczenia ani kwestią przywidzenia.

W Mongolii bardzo wyraźnie można zaobserwować przelatujące satelity. Różnica poziomów między Polską a Mongolią wynosi prawie 2000 metrów, dlatego to co widzieliśmy wydawało nam się tak wielkie. To wiele tłumaczy. Ale czy rzeczywiście tak było...?

Zasypiamy w spokoju. Co jakiś czas, w środku nocy dochodzą do nas dźwięki wyjącego na wysokich obrotach silnika. To jakiś zabłąkany pojazd zмага się z podmokłą drogą wiodącą wokół jeziora.

### **13 dzień. Środa. 22 czerwca**

Noc nad błotnistym jeziorem upłynęła spokojnie. Rano jest chłodno. Jesteśmy trochę zaskoczeni tymi temperaturami. Jest czerwiec, a na termometrze tylko 10 stopni...

Ruszamy w kierunku Khovd. Kolejne godziny w kolebiących się autach. Kiedy na stepie przybywa roślinności, pojawiają się małe i bardzo zwinne zwierzątka. To susły. Nie wiadomo czemu uwielbiają zabawę polegającą na tym, kto przebiegnie bliżej przed nadjeżdżającym samochodem. Chwilami mamy wrażenie że rozjeżdżamy ich na kilogramy. Ale kiedy zerkamy do tyłu nie ma ani jednego. Pojawiają się też świstaki syberyjskie. To łakomy kąsek dla mongolskich myśliwych. Ich mięso jest przysmakiem. Ale polują na nie przede wszystkim dla sportu. Skóry podobno są znakomitym towarem eksportowym do Rosji.

Jedyną co nam doskwiera podczas suchych dni, to wszechobecne tumany pyłu. Mamy go w każdym zakamarku naszego ciała. Musimy uważać na sprzęt fotograficzny. Po zrobieniu zdjęć aparaty praktycznie od razu lądują albo w futerałach, albo pod koszulą.

Forma podróżowania po bezdrożach Mongolii bardzo nam się podoba, ale musimy się do tego trochę przyzwyczaić. Trzeba zapomnieć o tym jak jeździ się w Europie, o naszych przyzwyczajeniach i nawykach. Tu wszystko jest inaczej. Po pierwsze nie jeździ się tutaj po zmroku. Można wpakować się w taką dziurę, że rozbite auto to najłżejsza z konsekwencji. A jeśli to już konieczne, to bardzo po mału i ostrożnie.

Po drugie, należy trzymać się już "wydeptanych" traktów, czyli mówiąc wprost trzymamy się drogi. Żadnej samowoli, ani w poprzek i ani wzdłuż. Daje to pewność, że nie wpadniemy w żadną niespodziewaną zasadzkę czy wypłukany przez wodę rów, których tutaj jest pełno. Oczywiście w miarę równy aż po horyzont step, kusi. Bywa, że po większej ulewie, drogi są podtopione na tyle, że przejazd grozi utknięciem w środku rwącego strumienia. Nam na szczęście czerwcowe opady, których jest mniej niż w kolejnych miesiącach nie utrudniają podróży.

Po środku stepu przystajemy przy kompleksie niskich, parterowych budynków. To przydrożny zajazd. Można tu wynająć łóżko w jednym z wieloosobowych pokoi, zastawionych piętrowymi pryzmami. Bez pościeli i jakichkolwiek wygod. Nie pytamy o cenę, nie jesteśmy zainteresowani noclegiem w tym miejscu. Toaleta tego wykwintnego motelu znajduje się na zewnątrz, za "ozdobnym" parawanem.

Kawałek dalej mijamy wielkie szkielety padniętych zwierząt. Nikt sobie tym tutaj głowy nie zaprzęta. Pomór zwierząt w tym kraju bywa co roku dosyć spory. Według statystyk, pada czasem nawet połowa populacji. A o służbach sanitarnych chyba nikt tutaj nie słyszał.

Przejeżdżamy pierwszy "rozklekotany" drewniany most. Ten jeszcze nie jest najgorszy. W miarę prosty i trzyma się kupy. Ale i tak wygląda jak zabytek muzealny. Kolejne owo przy wjeździe do miasta. Wita nas kamienny obelisk z wyrytymi napisami. Przystajemy tu na dłużej. Ale nie jesteśmy pewni, czy postępujemy właściwie, urządzając sobie w tym miejscu kuchnię polową i toaletę. Kiedy w pobliżu przejeżdżają mongołowie, wszyscy trąbia. Pozdrawiają w ten sposób to święte dla nich miejsce. Niektórzy z nich zatrzymują się, i obchodzą owo trzykrotnie dookoła. To też tylko forma wyrazu szacunku dla tego miejsca.

Kiedy zbliżamy się do miasta, wita nas opuszczony szlaban, i budka z napisem POLICE. Człowiek w cywilnym ubraniu (policjant?), podchodzi do auta i domaga się pieniędzy za wjazd, wciskając nam do ręki jakiś bilecik. Kwoty są dla nas w sumie śmieszne, więc nie targujemy się. Płacimy i wjeżdżamy.

Khovd od czasów dynastii King, jest najważniejszym centrum handlu, biznesu i administracji w zachodniej Mongolii. Mandżurowie zbudowali tu dawno temu, twierdzę i garnizon wojskowy, liczący półtora tysiąca żołnierzy. Jak na tamte czasy, to imponujące liczby. Do dziś przetrwały tylko okalające go mury, które niczym nie zabezpieczone, ulegają szybkiej degradacji. Jako jedno z ostatnich miast, w roku 1912, zostało uwolnione spod chińskiej okupacji. Miasto jest głównym producentem energii elektrycznej dla całego kraju. Mieszka tu 35 tysięcy ludzi. W tutejszym muzeum znajdują się rekonstrukcje naskalnych rysunków z jaskini Cercheriijn, do której zamierzamy dotrzeć w dalszej części wyprawy.

Tak jak poprzednio, niskie parterowe, pobielane klockowe domki. Mamy tu zwiedzić zabytkową twierdzę Khovd, ostatni bastion Mandżurów w Mongolii. Zabytkowa twierdza okazuje się tak naprawdę kawałkiem muru, przypominającym kształtem rozlane tortowe

ciasto. Trochę zde gustowani robimy parę fotek i ruszamy do centrum. Podjeżdżamy przez pomyłkę pod budynki lotniska. Pusto tu i głucho. Zawracamy i omijamy budynki i pas startowy. Nasza trasa wiedzie obok lotniska. Na jednym z wielopasmowych, mongolskich skrzyżowań, mimo nawigacji gubimy drogę. Wjeżdżamy nie w tę, którą powinniśmy. Ale jeszcze o tym nie wiemy.

Droga uroczo wije się pomiędzy drapieżnymi górami niczym strumyk. Nasze zdziwienie sięga zenitu, kiedy droga kończy swój bieg u podnóża wielkiej góry. W oddali widzimy kilka białych jurt. Próbuje my zasięgnąć informacji. Niestety bezskutecznie. Miłe panie, zaskoczone naszą obecnością w tak odludnym miejscu, nie mówią po rosyjsku. Na domiar złego, my nie mówimy po mongolsku. Pozostaje nam jedynie pomachać sobie na pożegnanie, i zawracać. Cofamy się i odbijamy w bok, w pierwszą drogę jaka się natrafia. Prowadzi ona do osady Duut. Dziwne miasteczko, schowane za przysłowiowymi siedmioma górami i lasami. Po co ludzie osiedlają się w takich miejscach? To już pozostanie do końca wielką tajemnicą. Przelatujemy przez Duut praktycznie bez zatrzymywania. Rozglądamy się i robimy parę fotek. Ale niczym szczególnym od kilku poprzednich się nie różni. Położone jest tylko bardziej ekstremalnie. Żeby tu dojechać, musieliśmy się nieźle nagimnastykować po kamienistych, wąskich drogach. Mijamy całe stada niesmowicie zarośniętych jaków. To bardzo sympatyczne stworzenia. Bacznie nam się przyglądają, ale nie okazują strachu. Mijamy je w odległości zaledwie kilku metrów.

Smagani przez piękne popołudniowe słońce, ponownie przemierzamy kilometry cudownie mieniących się zielenią, górskich krajobrazów. Chwilami, gdyby nie wyraźny ślad wyjeżdżonej drogi, można by mieć wrażenie że właśnie znajdujemy się na jakiejś obcej, niezamieszkanego planecie. Aparaty i kamera, choć pracują na okrągło (czyli dużo więcej niż my), niestety nie oddają tej ogromnej i cudnego przestrzeni, którą mamy przed sobą. Słońce nie dociera na sam dół tej doliny. Jego promienie pływają tylko gdzieś wysoko po czubkach szczytów. To zasługa otaczających nas, ogromnych gór. Kiedy na drodze wyrastają już nie kamienie, ale sporej wielkości głazy, średnia prędkość spada nam do minimum. Posuwamy się zaledwie dwa, może trzy kilometry na godzinę. I wreszcie trafiamy do raję.

To zaskakujące, że pośród setek olbrzymich, surowych gór, ciągnących się od horyzontu do horyzontu pojawił się tak zielony eden. Obecność rzeki sprawiła, że roślinność bujnie eksplodowała w tak nieprzyjnym środowisku. Niestety rzeka przecina naszą drogę i musimy się przeprowić na drugą stronę jeszcze przed zmrokiem, aby rozbić tam obóz. Sprawdzamy dno rzeki. Jest dobrze. Twardo i same kamienie. Na wszelki wypadek wyciągarka podpięta do drzewa po drugiej stronie i jazda. Po chwili rozbijamy obóz w tajemniczym i niesamowicie głębokim wąwozie, gdzie promienie słońca już nie docierają, widzimy je jeszcze na szczytach otaczających nas gór. Jest pięknie i zupełnie... niezmiensko. Te mongolskie krajobrazy potrafią być skrajnie odmienne na przestrzeni zaledwie paru kilometrów. Tu zostajemy na noc.

**14 dzień. Czwartek. 23 czerwca**

Dziś w planie mamy odnalezienie jaskini w której podobno znajdują się bardzo stare i cenne rysunki naskalne, opisane w naszym przewodniku. Po kilkuset metrach "czołgania" się po kamieniach rzeka ponownie przecina drogę. A potem, jeszcze raz... i jeszcze raz. I tak kilkadziesiąt razy. Popadamy w rutynę. Przy którymś z kolei przejeździe nie wysiadamy już nawet z samochodu, aby sprawdzać dno. Po prostu wrzucamy odpowiedni bieg i jazda. Wszystko idzie jak po przysłowiowym maśle. Kiedy już nasza czujność zostaje uśpiona, niespodziewanie, jak to w takich sytuacjach z reguły bywa, wpadamy w zasadzkę.

Krokodyl jedzie jako pierwszy. Najpierw w gliniaste i głębokie dno wpadamy lewym kołem. Ale siłą rozpędu przejeżdżamy jeszcze parę metrów i horyzont się wyrównuje. Po chwili prawe koło wpada nam tak głęboko, że Krokodyl kładzie się na prawy bok. Wszystko dzieje się tak szybko, że jesteśmy kompletnie zaskoczeni. Tapnięcie jest raptowne. Kamera wypada mi z rąk. Chwytam sprzęt foto, unoszę go do góry i próbuję jak najszybciej wydostać się z kabiny zanim się zamoczy. To co cenne odkładamy na trawnik, zrzucamy odzież i wracamy ratować Krokodyla. Auto opiera się prawym progiem o wielki kamień. Tylko on ratuje nas przed całkowitą wywrotką, ale mocno wgniatamy próg. Musimy błyskawicznie ratować się wyciągarką, każdy kolejny obrót kół powoduje jeszcze głębsze osadzanie. Robimy mu przeciwwagę, na tyle na ile możemy. Cała akcja trwa kilkadziesiąt minut. Wydostajemy się na bardziej stabilny grunt. Krokodyl jest uratowany. A my wraz z nim.

Godzinę później jesteśmy w gerze pod jaskinią Cencheriijn Aqui. Wzbudzamy spore zainteresowanie. Rozdajemy długopisy. W tym czasie miescowa kobiety w lekkiej panice, poszukują spośród siebie kogoś, kto będzie na tyle odważny, by z nami porozmawiać. Wreszcie zjawia się mężczyzna w wieku trzydziestu lat, w skromnym granatowym sweterku i adidasach. Z tego co udaje nam się zrozumieć, jest nauczycielem w tej wiosce. Zgadza się od razu z nami pojechać do jaskini. A przynajmniej tak nam się wydaje, że się zgadza. A może po prostu nie rozumie, o co pytamy. W każdym razie pakujemy go do auta i ruszamy, a on nie protestuje. Chwilę tak jedziemy kołyszając się i milcząc. Kiedy nasz wzrok się krzyżuje, uśmiechamy się tylko przyjaźnie do siebie. Siedzę blisko niego. Właściwie jest tak ciasno, że dotykamy się kolanami. Wydziela dziwny zapach. Nie jest to zapach brudu czy niechlujstwa. Raczej prania, które zostało wyprane bez dodatku proszku i nie do końca wysuszone. Więc jest to chyba zapach biedy.

Z parkingu nauczyciel idzie pierwszy. Wspinamy się stromą ścieżką pod górę. Jest gorąco. A my jesteśmy po dzisiejszych przygodach już mocno wypompowani z sił. Męczymy się. Pot nam spływa po plecach, ale idziemy. Wejście do jaskini znajduje się na wysokości kilkuset metrów. Jest przyjemnie chłodna i stromo opada w dół ślimakowatym, kamiennym zejściem. Ponad godzinę penetrujemy te ciemne korytarze, ale nie natrafiamy na żadne rysunki, ani nic co by je choć trochę przypominało. Nasz przewodnik też wydaje się być zaskoczony takim stanem rzeczy. Chyba próbuje nam powiedzieć, że ktoś musiał odkuć kawałki skały i je po prostu ukraść. A może znowu tylko nam się wydaje, że to właśnie chce nam powiedzieć. Jesteśmy trochę zawiedzeni.

Te rysunki miały mieć po kilka tysięcy lat. Na dole dajemy nauczycielowi pięć dolarów i kilka gadżetów. W tym gazetkę z gołymi dziewczynami. Bierze bez najmniejszych oporów. Lekko tylko się uśmiecha. Odwozimy go z powrotem do geru.

Kierujemy się ponownie na Khovd. Kolejny bilecik wjazdowy do kolekcji i znów tankowanie do pełna. Robi się wieczór i tradycyjnie zbaczamy z głównej drogi w kierunku widocznego w oddali jeziora, aby tam przenocować. Sprawdzamy czy jest sucho. Wszystko wygląda dobrze. Ale kiedy wjeżdża ciężki Krokodyl, zagrzebuje się po osie. Bandyta ustawia się z tyłu na długość liny, aby go wyciągnąć. Po chwili sam się zagrzebuje. Jest ciemno, późno i mamy już dosyć przygód na dziś. Zostajemy tak do rana. Przeszkadza nam tylko pochyl w jakim zastygł krokodyl. To tak jakby rozbić namiot na stoku narciarskim. O wyspaniu w takich warunkach nie może być więc mowy. Nasze oczy raduje za to gasnący, piękny mongolski dzień, topiący ostatnie promienie słońca w czarnej tafli wielkiego jeziora.

### **15 dzień. Piątek. 24 czerwca**

Od samego rana zaczynamy pojedynek z błotem. Jest kilka opcji, ale wyciągarka nie wchodzi w rachubę, bo po horyzont nie ma ani jednego drzewa. Zdejmujemy mosty i zaczynamy mozolnie podkopywać koła Krokodyla. Zajmuje nam to około godziny, zanim się wydostanie na suchy grunt. Teraz kolej na Bandytę. Który o dziwo wyjeżdża o własnych siłach. Widocznie wyślizgane wieczorem błotko zdążyło podoschnąć na tyle, że koła złapały przyczepność.

Kierujemy się na północ, do Ulaangom. W miasteczku Olgij trafiamy na urwiste koryto rzeki o niebywałym kolorze wody. Wygląda to tak, jakby ktoś przed chwilą wlał do niej cysterne czerwonej farby. I jak zwykle błądzimy przy wyjeździe. Kiedy się połapiemy, cofamy się kilkanaście kilometrów. W tym mieście jurty kontrastują z czteropiętrowymi blokami mieszkalnymi, przypominającymi peegerowskie czworaki. Mijamy też pędzący z zawrotną prędkością międzymiastowy autobus, który widząc nas z daleka ustępuje nam wąskiej drogi i gna na przelaj, wzniesając tumany kurzu, niczym dylżans po prerii. Na dachach suszą się ogromne ilości krowiego "opału". Gromadki wesołych, schludnie odzianych dzieci zabawiają się na piaszczystej drodze znalezionymi patykami i z ciekawością zerkają w naszym kierunku. Po raz pierwszy trafiamy tu na zmotoryzowany patrol policji w UAZ-ie. Wprawdzie panowie są po cywilnemu, ale w trochę oznakowanym radiowozie, mają po prostu naklejone po bokach flagi państwowe. Pytamy ich o drogę i chwilę rozmawiamy.

Mijamy stada przemieszczających się wielbłądów, które ani trochę nie boją się naszych hałsujących pojazdów. Mamy wrażenie, że moglibyśmy do nich podejść i pogłodzić ich sierść. Ale nie próbujemy. Strzelamy tylko serię zdjęć i kawałek filmu.

Godz. 16 (9 w Polsce). Docieramy do Ulaangom. Kolejny szlaban i opłata przy wjeździe. Ulaangom to stolica prowincji. Powstało w 1686 r. Położone na stokach gór Karkira. Około 120 km od granicy z Rosją. Mieszka tu prawie 27 tysięcy ludzi. Współczesne odkrycia archeologiczne dowodzą, że w XVII w. o dziwo, z dużym powodzeniem

uprawiano w tym regionie plantacje zbóż. Drewniane wysokie płoty zakrywają szczelnie podwórza. Choć domy już nie są tak białe jak poprzednio. Prawie wszystkie są teraz w kolorze gliny, z której są wykonane. Pojawiają się też skośne dachy. Po asfaltowych (!) ulicach, środkiem - dumnie przechadzają się parami krowy. Tankujemy paliwo i szukamy łaźni miejskiej, o której wyczytaliśmy w przewodniku. Mamy wielką ochotę na ciepłą kąpiel. Szukamy tego miejsca. Kiedy wreszcie znajdujemy, nasze plany i tak biorą w łeb. W całym mieście nie ma prądu, więc możemy zapomnieć o kąpielu. Okazuje się także, że to miasto nie ma bieżącej wody. Mieszkańcy zaopatrują się w nią za niewielką opłatą, w kilku studniach głębinowych. Jest to biała budka z dwoma otworami. W jednym dokonujemy opłaty, z drugiego leci woda. Nalewamy do pełna tu nasze butelki i baniaki.

Opuszczając Ulaangom, tracimy bandytę z oczu. Jesteśmy już do tego przywyuczajeni więc nie wpadamy w panikę, tylko spokojnie posuwamy się do przodu. Kilka kilometrów za miastem, przy rozwidleniu dróg musimy zaczekać. Dziewczyny mogłyby tu pomylić drogę. Czekamy. Po kilkunastu minutach podjeżdża do nas młody chłopak i bez słowa pokazuje nam palcem na kierunek z którego przyjechaliśmy. Przez chwilę nie bardzo rozumiemy o co chodzi... Ale odnosimy wrażenie że powinniśmy zawrócić. To jasne, Bandyty nadal nie ma. Coś musiało się stać. Wracamy.

Dziewczyny stoją na poboczu w kompletnym pustkowiu. Przednie koło ma flaka. Nie prosiły przejeżdżającego chłopaka o pomoc. Sam skojarzył naklejki na samochodach. Zakładamy na Bandytę zapasówkę. I musimy się rozdzielić. Krokodyl jedzie dalej, Bandyta wraca do Ulaangom naprawić koło. Spotykamy się nad brzegiem największego jeziora w Mongolii, Uvs Nuur.

Jest późno, ale mimo to udaje nam się znaleźć jeszcze czynny warsztat. Sympatyczne chłopaki biorą się za naprawę. Ale metoda przypomina średniowieczne podkuwanie koni. Opona jest wysmarowana od środka czymś, co musi schnąć ponad godzinę. Więc czekamy. Zagadujemy załogę warsztatu. Pokazujemy im nasze przewodniki. Są weseli, wiele rozumieją po rosyjsku i śmieją się ze wszystkiego. Aśka daje im muszle na pamiątkę. Nie wiedząc co to takiego próbują je zjadać...

W końcu dobijamy do Krokodyla i nocujemy na płaskim jak lotnisko stepie. Jest kompletnie czarna noc. Za to wyśmienicie na mongolskim niebie prezentują się całe połacie gwiazd.

## **16 dzień. Sobota. 25 czerwca**

Godz. 10.30 (3.30 w Polsce). Jesteśmy na wysokości 917 mnpm. W dzień step nie wygląda tak tajemniczo i dziwnie jak w nocy. Ale też robi wrażenie. W którą stronę, gdzie się nie spojrzy jest płasko. Porastają go tylko drobne kępki krzaczków zwanych "drzewem pustyni". Mamy problem ze znalezieniem ustronnego miejsca.

Teraz kierujemy się całkowicie na wschód. Przejeżdżając w pobliżu geru składającego się z czterech jurty, bez namysłu decydujemy się na odwiedzinę. Trafiamy idealnie. Właśnie trwają postrzyżyny. Trochę zakłócamy normalny tryb pracy, ale od razu



zostajemy zaproszeni do środka na poczęstunek. Jurty prezentują się całkiem okazale. Panele słoneczne. Telewizja satelitarna. Wokół całe mnóstwo zwierząt i koni. W środku czysto i schludnie. Na jurtach suszą się dziesiątki plasterów sera, pozostawiając po sobie sporej wielkości tłuste plamy.

Sadowimy się na łózkach i zagadujemy gospodarzy. Trochę rozumiejemy po rosyjsku. Zwłaszcza starsi. Jedna z młodych dziewczyn zna też dobrze angielski. To znacznie ułatwia nam kontakt. Schodzi się cała rodzina. Rozdajemy prezenty. Błyskawicznie pojawia się sute-czaj i kumys. Nie odmawiamy poczęstunku, choć wielbicielami tych smaków nie jesteśmy. Przyjmujemy miseczki zgodnie z panującym zwyczajem i degustujemy. Atmosfera się rozluźnia. Gospodarze pokazują nam jeszcze pozostałe jurty, te mniej reprezentacyjne. Uwielbiają się też fotografować. Sami pozują we wszelkich możliwych konfiguracjach, na koniach i motorach.

Aśka wyraża wielką ochotę na przejażdżkę. Dostaje bez problemu osiodłanego konia. Wsiada i rusza. Wszyscy są zaskoczeni jej umiejętnościami jeździeckimi, dostaje nawet brawa. Dopiero po szczęśliwym powrocie okazuje się, że koń kompletnie nie reagował na żadne polecenia i galopował bo tak mu się akurat podobało. Widocznie ten egzemplarz nie znał języka polskiego!

Robimy pamiątkowe strażackie foty i odjeżdżamy. Było bardzo sympatycznie. Ich gościnność wywodzi się z bardzo dawnej tradycji i rzeczywiście zawsze można u nich liczyć na posiłek, a nawet na nocleg.

### **Godz. 18 (13 w Polsce) Baruunturuum.**

Mijamy kompleks dużych budynków w totalnej ruinie. Bez okien, drzwi i stropów. Widzieliśmy już podobne, w innych miastach. Wyglądają jak peegery. Prawdopodobnie jest to pamiątka po rosyjskiej kolektywizacji, czyli coś w rodzaju kolchozów. Ale widocznie żaden z nich nie przetrwał po oderwaniu się od Związku Radzieckiego. A to co się dało, zostało ukradzione. Straszą jedynie szkielety murów. W centrum, cokolwiek to oznacza w tych mongolskich miastach, stoją wielkie panele słoneczne pod którymi wylegują się krowy, widok dość zabawny. Zderzenie dwóch światów, technika i tradycja.

Zatrzymujemy się przy wydmach Altan. To swoisty fenomen przyrodniczy. Jest to część piaszczystych obszarów Boorog Delijn Els. Wydmy mają długość ok. 45 km a wysokość ok. 30 metrów. Rezerwat przyrody. Podziwiamy to miejsce przez prawie godzinę. powinniśmy połączyć tutaj trochę, ale chyba nam się nie chce.

Całkowicie po ciemku trafiamy do miasta o nazwie Tes. Przy wjeździe pytamy kierowcę ciężarówki o gostinicę. Niby jest w centrum, ale pozamykana na głucho. Pytamy więc o inną możliwość noclegu pod dachem. Nic z tego. Nikt nie mówi po rosyjsku. Pod niewielkim sklepem pytamy ponownie. Niespodziewanie z mroku wyłaniają się jeźdźcy na koniach. Okrążają nasze pojazdy i bacznie nam się przyglądają, próbując ustalić co za zamieszanie się dzieje w ich miasteczku. Wszyscy są pijani. Po raz kolejny tłumaczymy łopatologicznie o co nam chodzi. Mamy podjechać pod jakiś dom. Znowu robi

się zamieszanie. Nie ma kluczy do niego. Mężczyźni z gołymi torsami wciąż gdzieś wydzwanają i pokazują nam że mamy czekać. Trochę nas niepokoi ta cała sytuacja. Za płotem w niewielkiej jurcie słyhać odbywającą się głośną imprezę. Czekamy, ale nasza niepewność czy aby dobrze robimy, rośnie z minuty na minutę.

W końcu, po upływie pół godziny znajdują się klucze i wchodzimy do środka. Wnętrzem jesteśmy oczarowani. Wygodne łóżka z czystą pościelą. Ciepła woda i nastrojowe światło. Czysta łazienka...

A tak naprawdę to jest co najmniej koszmarne! Dziury w ścianach, podłodze i drzwiach. W środku dwie izby i trzecia niewielka, robiąca za kuchnio-łazienkę. Ściany obdrapane. Ale na jednej z nich obrazek świętego Mikołaja! W rogu stary piec i bańka powieszona nad wiadrem robiąca za kran. Kilka taboretów i wywracający się stół. Toaleta na zewnątrz. Ale ta jest wyjątkowa. Po ciemku trzeba bardzo uważać by nie wpaść do wielkiego dołu z którego unoszą się ciepłe opary! Pościel nie nadaje się do użycia. Na szczęście jest pięć łóżek, ale i tak mamy obawy czy nie obleżą nas jakieś wszy lub inne robactwo!

Najchętniej byśmy stąd czmychnęli, ale już nie za bardzo wiemy jak się z tego wycofać! Musimy tu chyba zostać tę jedną noc. Wyciągamy tylko własne śpiwory i poduszki. Dzwonimy trochę metalowymi starymi sprężynami i gasimy światło. Co przyniesie noc, tego nie wiemy. Od środka drzwi nie mają zamknięcia...

## **17 dzień. Niedziela. 26 czerwca**

Nocne wielkie strachy okazały się małe i niegroźne. Nic w zasadzie się nie wydarzyło. Poza tym że ktoś z załogi, potwornie nad ranem chrapał. Nie wiadomo w sumie co gorsze. Strachy, czy potworne chrapanie. I to i to może doprowadzić do rozstroju...

Na zewnątrz piękne słońce. W jego promieniach, ta ponura wioska już nie wydaje się taka ponura. Ale ta noc i warunki w domu gościnnym długo pozostaną w naszej pamięci.

Nasz prawdziwy podziw wzbudzają ręcznie malowane drogowskazy. Nie ma ich tu zbyt dużo, ale te na które trafiamy są urodziwe. Mogłyby z powodzeniem utworzyć nowy nurt w sztuce współczesnej. Jak ręcznie malowane dzbany czy talerze, którym to się udało. Ich dokładność jak i podane na nich odległości należy raczej traktować w kategoriach "jak będziesz miał odrobinę szczęścia, to trafisz..." Ale nawet z nimi czujemy się zagubieni i zdani na własne siły.

To już piąty dzień jak przemierzamy bezkresne połacie tego niesamowitego kraju. Stopniowo oswajamy się z panującymi tutaj zwyczajami oraz ze zmiennością przyrody. Z tym że nie ma kogo spytać o drogę, że trudno nawet wypatrzeć miejscowych aby ich zagadać. Zrozumieliśmy że jesteśmy panami swojego losu. Wydawałoby się że już nic nie powinno nas zaskoczyć... A jednak!

Sama przyroda sprawia nam niespodziankę. Pejzaż niby taki sam, jak przed kilkoma dniami, ale teraz po sam horyzont rozpościera się soczystozielony dywan, poprzecinany

tylko żółtymi wstęgami dróg. Dotarliśmy do innej strefy roślinności. To lasostep. W Mongolii takich stref jest aż sześć. Teraz pojawia się coraz więcej obszarów zalesionych. Krajobraz po liftingu ponownie nas zachwyca. Góry są jakby trochę łagodniejsze, ale ich ilość jest niewiarygodna! Wyłaniają się zza siebie jak kolejne dekoracje w teatrze. Kiedy docieramy do pierwszych, za nimi znów pojawiają się następne. I tak bez końca!

Na kolejnym postoju zasiadamy wśród bardzo kolorowych kwiatów, niczym hippisi rozklekotanym volkswagenem w drodze na Woodstock. Po chwili zjawiają się trzej sympatyczni panowie. Dwóch podpasionych grubasków i jeden starszy chudzielec. Najbardziej małomówny. To handlarze. Przemierzają kraj wzdłuż i wszerz, skupując lub sprzedając wszystko co się do tego nadaje. I rzeczywiście, ich ciężarówka stojąca nieopodal, wypełniona jest po brzegi dosłownie wszystkim. Wyczuwa się hierarchię ważności w ich "firmie". Grubaski rozmawiają swobodnie. Chudzielec wogóle się nie odzywa. Spijamy z nimi rozpuszczalną kawę i zjadamy ciasteczka. Strasznie siorbią! Ale robią to tak naturalnie, że chwilami musimy powstrzymać się, by nie parsknąć głębokim śmiechem. Choć nie jest to łatwe. Żaden z nich nie pali, ale częstują się papierosami i wkładają je za ucho. Ot natura kupiecka, wszystko się może przydać! Rysiek wyciąga laptopa by pokazać im zdjęcia z Polski. Oglądają w skupieniu kiwając głowami i mrużąc okazując zainteresowanie. Podziwiają dom i garaż. Po chwili wyciągają swojego laptopa i rewanżują się pokazem swoich slajdów!!!

Godz. 12 (5 rano w Polsce). Tsetserleg. (Niech nikogo nie zmyli nazwa. Tsetserlegów w Mongolii jest kilka!). Nieduże miasteczko z niezliczoną ilością mikroskopijnych sklepików spożywczych przy głównej ulicy. Choć w towarze zbytniego wyboru nie ma, dokonujemy tu podstawowych zakupów. Ale chleb dostajemy dopiero chyba w piątym z kolei i do tego twardy jak cegła. Kiedy przed niewielką drewnianą budką z napisem Police dostrzegamy kobietę w mundurze od razu kierujemy się w jej stronę. Chcemy tylko zrobić pamiątkowe foto bo jest ładna. Ale ładna pani przerażona naszym widokiem, znika za drewnianą furtką i zamyka ją na klucz. Przepraszamy bardzo! Zdjęcia nie będzie!

Kolejny nocleg na gęsto porośniętej, dzikiej przełęczy. Z dala od głównej drogi. Jest ognisko, kiełbaski, duch Czyngis Chana i krakowskie przyśpiewki z kultowym "Idzie dysk". Jest niesamowicie...

## **18 dzień. Poniedziałek. 27 czerwca**

Noc na przełęczy, jak wszystkie poprzednie w Mongolii, spokojna i magiczna. Dbą o to duch Czyngis Chana. Jadąc dalej natrafiamy na całkowity ewenement. Znak drogowy po środku stepu, nakazujący kierunek jazdy w lewo. Co on tu robi w tym miejscu? Kto i po co go tu postawił?

### **Godz. 12.30. Tosontsengel.**

Wjeżdżamy do miasta i po raz kolejny Bandyta przepada gdzieś bez wieści. Chwilę krążymy piaszczystymi uliczkami i czekamy. Kiedy po kwadransie dziewczyn nadal nie ma, wracamy do miejsca, w którym widzieliśmy się po raz ostatni...

Widzimy Bandytę z daleka. Znowu niespodzianka. Aśka stoi na dachu samochodu i szamocze się z pasami spinającymi kanistry. Wywróciła się plastikowa bańka z czterdziestoma litrami benzyny, umocowana na dachu. Prawie wszystko się wylało na samochód. W kabinie jest intensywny smród benzyny. Na szczęście nic gorszego się nie stało. Benzyna przecież mogła się zapalić. Od teraz dziewczyny zaczynają podróżowanie w chustkach na twarzy, jak islamskie terrorystki! Inaczej się nie da wysiedzieć w tym aucie...

Miasto podobne do wszystkich poprzednich. Drewniane ogrodzenia, a za nimi niewielkie domy i poupychane jurty. W pobliżu duża fabryka sprawiająca wrażenie popadającej w ruinę. Główna arteria dwupasmowa. Ma nawet coś na kształt rozdzielającego pasa zieleni. Ale zieleni od dawna w niej nie ma! Pozostał tylko okalający ledwo żywy płótek. Dużo sklepików z kolorowymi szyldami w niezrozumiałym dla nas języku. Na ulicy toczy się życie towarzyskie. Pomiędzy czarnymi, błyszczącymi Toyotami, przechadzają się osiołki ciągnące wielkie bańki na wodę. Wokół nich duże, wylegujące się futrzaste psiaki.

Wielu mongołów odzianych jest w tradycyjny strój, zwany deelem. Wygląda to jak skrzyżowanie wojskowego płaszcza z kolorowym szlafrokiem. Ale deel jest bardzo praktycznym odzieniem. Skrywa wiele osobistych przedmiotów, które każdy z nich nosi przy sobie. Nam jednak wydaje się bardzo nieporęczny. Mongolskie buty używane na stepie, to skórzane, wysokie oficerki z zadartym do góry dziubkiem. A wszystko po to, by nie ranić matki-ziemi. W oddali przechadza się gliniarz z "drogówki" ze świecą pałką i w odblaskowej kamizelce. Jaka jest jego rola w tym mieście? - pozostanie dla nas wielką zagadką, skoro i tak ruch odbywa się tu według zasady: jedź tak jak ci pasuje! Kwestia parkowania też jest sprawą bardziej intuicji niż przepisów.

Mijamy kilka tajemniczych ministacyjek benzynowych. Wyglądają bardzo skromnie i raczej lata swojej świetności mają już za sobą. Nieforemna, obdrapana budka i jeden pamiętający Krzyżaków dystrybutor z wytłuczonym do reszty licznikiem. Bez okien. Bez drzwi. Coś niesamowitego. A wszystko razem sprawia wrażenie, jak by miało za chwilę grzmotnąć z impetem o ziemię. To zabawne. Producenci horrorów non stop muszą wymyślać wciąż to nowe dekoracje do swoich filmów, aby straszyć na nowo widzów, a tu takie rodzynki się marnują!

Z daleka dostrzegamy wielki, drewniany most. Prezentuje się całkiem okazale. Z bliska szokuje. Most Jaargalant. Jest tak powyginany i pokraczny, że aż uroczy i budzący współczucie. Z powodzeniem też mógłby zagrać w jakimś filmie, np. z serii "Indiana Jones i most w Jaargalant". To kolejne dziecko mongolskich budowniczych. Bez zastanowienia decydujemy się na przejazd, mimo dziwnych znaków umieszczonych z każdej strony. Jakby zabraniających wjazdu. Ale most całkiem dobrze się trzyma. Nic nie buja i nie trzeszczy. Po chwili jesteśmy już po drugiej stronie. Ale przeżycie jest niesamowite. Dosłownie czujemy jak wydziela nam się pod skórą adrenalina.

Dosyć niepostrzeżenie dostajemy się do modrzewiowej dżungli. Nagle robi się bardzo zielono i ciemno. Gęsty las z samych modrzewi syberyjskich jest piękny i tajemniczy. Zmierzamy do przełęczy nad jeziorem Terchiijn. Po raz kolejny chcemy być mądrzejsi od

nawigacji. Ona swoje, a my swoje. Wybieramy ładniejszy wariant drogi. Drogi, która po raz kolejny okaże się powabną pułapką. Śliczna mała rzeczka i urocza łączka. Ale kiedy koła grzęzną do połowy w czarnym błocie, wycofujemy się. Nie mamy już czasu na szukanie takiej przygody. Nie możemy sobie pozwolić na pokonywanie dwóch, może trzech kilometrów przez cały dzień. Zawracamy.

Kiedy docieramy do zerwanego, drewnianego mostu na drodze, napotykamy błagalny wzrok kierowców kilku zakopanych samochodów. W kolejce stoi terenowa Toyota i jakiś niewielki autobus w kolorze wściekłego słonecznika. Wokół krzątają się jacyś ludzie, nie wiedząc za bardzo co powinni zrobić w tej sytuacji. Wszyscy, którzy próbowali się przedostać brodem obok mostu, utknęli w błocie. Jesteśmy wybawicielami. Znowu od losu dostajemy szlachetną misję.

Rysiek, czując w sobie gorącą krew naszych przodków ułanów, postanawia pokazać wszystkim, jak się jeździ "po naszymu". Zanim ktokolwiek zdąży zareagować, wskakuje do krokodyla, pełny gaz i rusza w kierunku brodu. I mimo ułańskiej fantazji zakopuje się tak, jak wszyscy.

Mongolskie błoto wygrywa pojedynek z polskimi ułanami. Jedyna nadzieja w autobusie, który jest po drugiej stronie brodu i jeszcze nie zdążył odjechać. Kiedy udaje się porozumieć z jego kierowcą, podpinamy wyciągarkę i czekamy na zaciągnięcie. Jesteśmy jako pierwsi wygrzebani z tego błotka. Honorowo zaczynamy pomagać innym. I tak po kolei. My wyciągamy Toyotę, Toyota kogoś następnego. Nie czekamy do końca tej wyliczanki. Szkoda nam czasu. Aśka bacznie obserwuje, gdzie jest jeszcze sucho, gdzie ziemia jest nierozjeżdżona. Odpala Bandytę i przejeżdża bez najmniejszego problemu. Jest z tego faktu dumna, choć nie okazuje tego. Widać, że nie lubi korzystać z pomocy męskiej części załogi.

Teraz przemierzamy gęsto porośnięte szczyty łagodnych pagórków, przypominających trochę Bieszczady. Ale nic bardziej mylnego. Jesteśmy na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów! Naszym oczom ukazują się niemałe połacie śniegu. A więc pod nami jest wieczna zmarzlina. Obszar obejmujący wschodnią część Syberii oraz północnej Mongolii. Skorupa ziemi w tej części świata utrzymuje się w temperaturze poniżej zera. Bez względu na porę roku.

Dojeżdżamy do jeziora Terchijin Tsagan Nuur. Czyli jeziora Białego. Powstałego w wyniku erupcji wulkanu, który zatrzymał odpływ górskiego potoku i spiętrzył jego wody. Ma około dwudziestu kilometrów długości i ponad cztery szerokości. Ponoć należy do najładniejszych akwenów wodnych w Mongolii. Choć nie mamy porównania, rzeczywiście jest urzekające. Przy wschodnim brzegu jeziora znajdują się dziesiątki ułożonych przez ludzi kopczyków owo.

Rozbijamy obóz nad samym brzegiem. Wldok jest nieprawdopodobny. Gdyby nie ślady samochodów, czulibyśmy się jak załoga uszkodzonego pojazdu kosmicznego, który z niewiadomych przyczyn zmuszony jest wylądować na innej planecie. Rozpalamy ogień. W ciszy próbujemy na swój sposób ogarnąć to wszystko, co nas tutaj otacza.

Niepodziewanie z wieczornej kontemplacji wyrывa nas ryk motocykla. Mamy gościa. To Naran Bat. Niewysoki młody chłopak o pogodnej ciemnej twarzy. Ma bardzo wąskie oczy, ale rekompensuje to krzaczastymi, breźniewowskimi czarnymi brwiami. Przybywa na swoim żelaznym rumaku, odziany w deel koloru mocnej czekolady z pasem przypominającym niedojrzały groszek. Pokazuje nam swoje jurty widoczne na krańcu jeziora. Zjada z nami skromną słoikową kolację i kawałek żubrówki. Smakuje mu. Jest rozmowny i bardzo towarzyski. Dobrze mówi po rosyjsku. Dogadujemy się w każdym temacie. Kiedy zapada zmrok odjeżdża. Zасыpiamy w kompletnej ciszy. Nie ma najmniejszego wiatru. Wielka woda też zasypia w milczeniu.

### **19 dzień. Wtorek. 28 czerwca**

Poranek nad wyludnionym jeziorem też dostarcza dziwnych wrażeń. Mongolskie jeziora nie są porośnięte żadną roślinnością. To dziwny widok dla naszych oczu. Żadnych szuwarów, traw, drzew czy pływających liści. Nie ma żab, ani małych, błyskających w słońcu rybek, które zawsze smyrają nasze nogi, kiedy wchodzi się do polskiego jeziora.

Posiłek szykujemy bez zbędnego pośpiechu. Co jakiś czas potrzebny jest taki oddech i odrobina spowolnienia. Jesteśmy wtedy mniej nerwowi w ciągu całego dnia. Co też korzystniej wpływa na nasze relacje między sobą.

Dziś mamy w planie zdobycie wulkanu Khorgo, który jest oddalony o zaledwie osiem kilometrów od tego miejsca. Jest nieczynny od kilku tysięcy lat, ale i tak wejście do prawdziwego krateru pobudza naszą wyobraźnię. Przebijamy się wzdłuż północnego brzegu jeziora, i tu niestety nie omija nas atrakcja pod tytułem głębokie błotko! Jedyna droga jest całkowicie rozjeżdżona przez quady, które widzimy w oddali. Tylną osią Krokodyla jesteśmy zakopani. Bandyta musi się cofnąć aby nam pomóc. Bierze nas na hol i już po chwili jedziemy razem dalej.

Na wąskiej drodze napotykamy dwóch włochów przemierzających Mongolię Landroverem. Nadjeżdżają z naprzeciwka. Zatrzymujemy się obok siebie na krótką pogawędkę. Właściwie bardzo krótką. I bardziej miganą! Nasz angielski jest słaby, ich rosyjski praktycznie żaden. A dziewczyny, które po angielsku mówią w miarę dobrze, pognały do przodu i zostawiły nas samych! Mocno przekombinowanym językiem ustaliśmy, że spotkamy się z nimi w Karakorum i ruszamy dalej.

Po wschodniej stronie jeziora mijamy kilka ger-campów, czyli coś w rodzaju naszych kempingów. Jest tu parking, toaleta, bieżąca woda i jurty do wynajęcia. Wszystko dla zagranicznego turysty. Wygląda to całkiem sympatycznie. Też mieliśmy ochotę na choćby jeden nocleg w prawdziwej jurcie, ale jak dotąd nie było takiej okazji.

Zbliżamy się do wulkanu. Roślinność staje się odmienna. Pojawiają się w dużej ilości wysokie, żółte kwiaty i sporo drzew. Zbocza pagórków porastają gęste modrzewiowe lasy. Porozrzucane dookoła wulkaniczne kamienie sprawiają wrażenie bałaganu, jakby dopiero co zakończyła się tu wielka budowa. Ale to złudzenie. To natura zadbała o ten pozorny bałagan.

Zaglądamy jeszcze do Jaskini Jednego Człowieka, znajdującej się przy samej drodze. Dżozef i Małgosia penetrują ją bez najmniejszego wahania. Wejście może przyprawić o klaustrofobię, ale wewnątrz jest zaskakująco sporo miejsca. Trochę śmieci i ledwo wpadające promienie światła.

Rysiek nie ma ochoty nigdzie maszerować. Na samą myśl, że musiałby się wspinać gdzieś wysoko, stanowczo protestuje i odmawia wszelkich negocjacji na ten temat. Pozbawieni szans na zmianę jego decyzji, zostawiamy go samego przy autach. Wokół parkingu kilka straganów z lokalnymi produktami i kumysem w plastkowych, lekko poszarzałych i niewzbudzających zaufania butelkach. Widać, że musiały wrócić do obiegu już po raz kolejny. Jest też sporo turystów. Co rusz podjeżdża minibus lub kilka terenówek. Holendrzy, Japończycy, Mongołowie... Boimy się o jego silnie towarzyską naturę! Zdążyliśmy ją już trochę poznać. Co będzie jak zaczną zacieśniać przjaźnie z podróżnikami z innych krajów? A robi to na tyle skutecznie, że nie ma potem siły, która mogłaby go od tego oderwać! Rzykujemy. Nie ma zresztą innego wyjścia. Zostaje z kluczami i zapasem Żubrówki w podłokietniku.

Na szczyt wulkanu wspinamy się stromym zboczem. Jest duszno. Co rusz podnosimy spod nóg co ciekawsze kawałki zastygłej lawy i upychamy we wszystkie możliwe kieszenie w bluzach i do kapturów. Większość z nich przyjedzie z nami pochowana w zakamarkach do Polski.

Wulkan jest ogromny. Robi na nas prawdziwie "wulkaniczne" wrażenie. Z przewodnika wyczytujemy, że ma wysokość 2210 m n.p.m. Sam krater to 200 m szerokiej i na 100 metrów głębokiej lejowatej dziury. Na samym jego dnie pobłyskuje oczko wodne. Jaką ma głębokość tego nie wiemy. Dowiadujemy się też, co go tutaj porasta z każdej strony i jakie ssaki i gady go zamieszkują. Ale to tylko suche informacje. Reszta wrażeń organoleptycznych musi zostać wchłonięta już na żywo.

Cały jest pokryty brunatno-rdzawym bazaltem. Widać wyraźnie ślady prowadzące na sam dół krateru. Ktoś musiał zdobyć się na odwagę i zejść po mocno stromym osuwisku. My jednak się na to nie decydujemy. Naszym oczom wystarcza spacer dookoła po jego koronie. I tak wymaga to sporej uwagi i mocnego skupienia, na sterczących nierównych kamieniach łatwo można skrócić sobie nogę. Aparaty też wydają się być usatysfakcjonowane tym, co udaje im się zarejestrować. A widok ze szczytu jest imponujący. W połowie rdzawego osuwiska, na wystającej skalnej półce jakiś wielki ptak zbudował sobie gniazdo. Widzimy wielkie jaja opatulone w kożuszek z patyczków. Zaniepokojony naszą obecnością w pobliżu zaczyna krążyć nam nad głowami, dając wyraźnie do zrozumienia że czuwa i lepiej żeby nam nie przyszło do głowy zaglądać do jego gniazda. Nie zamierzamy go niepokoić. Oddalamy się.

Pod naszą dwugodzinną nieobecność, na parkingu rozkręciła się już impreza, czyli to czego się najbardziej obawialiśmy! Rysiek zaprzyjaźnił się z całą wycieczką autokarową Japończyków, ekipą Holendrów z terenówek i miejscowych Mongołów. Słyszymy go już z daleka, jak nuci polskie melodie, próbując uczyć starszego Mongoła przygrywającego na akordeonie. Zabawa tak mu się podoba, że mamy problem z wyrwaniem go z tej

imprezy. Wreszcie po silniejszych perswazjach dziewczyn, udaje się zapakować do wozu, co chwilę czule się żegnając z nowopoznanymi przyjaciółmi.

Kierujemy się na Tsetserleg. To prawie 200 kilometrów. Przy drodze małe dzieciaki błagalnym wzrokiem namawiają do zakupu kumysu. Jest ich tu dosyć sporo. Po obu stronach drogi porozstawiane różne pudła i skrzynki udające stragany, a na nich w rzędach poustawiane plastikowe butle wypełnione tym mlecznym napojem. Wzruszają nas ci najmłodszy, skromnie odziani handlarze. Mają może po cztery latka i bardzo smutne miny. Kupujemy u nich kilka butelek. Trochę się targują o cenę. My też. Ale tylko tak dla zasady. W gruncie rzeczy i tak robimy to dla nich. To pewnie ich jedyne źródło utrzymania.

Kawałek dalej gubimy się. Wystarczy że auto jadące z tyłu zatrzyma się choćby na chwilę, by zrobić zdjęcia to kontakt wzrokowy zostaje utracony. I wtedy jest problem. I tak właśnie to mniej więcej wygląda teraz. Krokodyl mocno pognął do przodu zostawiając Bandytę pośrodku stepu. Mamy tylko nadzieję, że w dalszej części nie trzeba będzie zbaczać z głównej drogi, bo wówczas odnalezienie się będzie już praktycznie niemożliwe. Tym bardziej że jedyna mapa papierowa i Garminowska nawigacja jest w Krokodylu... daleko za horyzontem.

Robimy postój w opisywanym w przewodnikach miejscu, przy Drzewie Stu Konarów. Niestety tego miejsca nie widać z głównej drogi, trzeba trochę zboczyć, przez co łatwo je po prostu przeoczyć. Wśród kilkudziesięciu starych modrzewiów, jeden jest szczególnie czczony. Obwieszony niezliczoną ilością niebieskich szmatek robi wrażenie. Niebieski kolor oddaje kult niebu i powietrzu. A to przestrzeń w której żyją duchy. Ale drzewo jest spalone. Albo ktoś podpalił je celowo, albo piorun nie wytrzymał i urządził tu sobie polowanie. Tak czy tak, pozostały tylko czarne, osmolone sterczące kikuty.

Następny punkt postoju na sesję fotograficzną to malowniczy przełom rzeki Czuulut. Jest intrygujący. Przywołuje na myśl obrazki z Kanionu Colorado. Wygląda tak, jak by w tym miejscu ziemia, w wyniku pęknięcia, rozstała się tworząc głęboki wąwóz, zalany następnie wodami rwącej rzeki. Jest urzekająco porośnięty drzewami o soczysto zielonym kolorze. Wszystko to razem skapane w promieniach sprzyjającego nam dzisiaj słońca wygląda niepowtarzalnie. Z pewnością nie moglibyśmy sobie wybaczyć, gdybyśmy ominęli to miejsce bez zatrzymania. Niestety, choć wielką pokusą jest zejście na sam dół kanionu, czas nam na to nie pozwala. Delektujemy się więc tylko tym, co dane nam jest zobaczyć z góry. Po przeciwnej stronie kanionu usadowił się dosyć spory ger-camp z dziesięcioma bielutkimi jak śnieg jurkami, ale bez ani jednego samochodu na parkingu. Na nadmiar klientów chyba jednak liczyć nie mogą, choć miejsce na tajemniczy nocleg pełen wrażeń chyba idealne.

Podążamy dalej tropem Krokodyla. Różnica pomiędzy naszymi pojazdami może już wynosić ponad dwie godziny. Jadąc ze średnią prędkością (po asfalcie, który akurat się pojawił) około 70 km/h daje nam to około 140 km odległości. Ale jesteśmy dobrej myśli. Droga jest całkowicie opustoszała. Przecinają ją czasami wielkie stada owiec, których nikt tutaj nie pilnuje. Wędrują ciurkiem, jak woda z rynny przecinająca chodnik po



ulewnym deszczu. Nie boją się samochodu. Musimy zwolnić i odczekać do momentu, kiedy będzie można bezpiecznie się prześliznąć pomiędzy nimi.

Wyrasta nam przed nosem znak informujący o robotach drogowych przybity do spróchniałego kołka. Ale za znakiem po horyzont nic się nie dzieje. Jedziemy dalej. Rozprawiamy między sobą na temat, na czym mogą polegać owe roboty drogowe w Mongolii, skoro... tu jest dróg tyle co piramid egipskich?

Po kilku kilometrach asfalt kończy się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W miarę równa dotąd droga zamienia się w szutrową kurzawę. I rzeczywiście w oddali stoi jakaś niewielka maszyna wspomagana przez jedną ciężarówkę. Ale ruchu żadnego na tej budowie nie widać. Obok skromna baza-zaplecze. Jasnoniebieski barakowóz i beczkowóz na ramie od Ziła. Dwoje ludzi w pomarańczowych kamizelkach ucina sobie leniwą pogawędkę przyglądając nam się z oddali. Teraz już nie debatujemy w tym temacie. Teraz wiemy jak to wygląda naprawdę! Tu wszystko dzieje się tak, jakby czas nie dogrywał żadnej roli w życiu człowieka...

Wreszcie wylania się przed nami, w dolinie otoczonej pagórkami miasto Tsetserleg. Ten drugi Tsetserleg! Jest godzina 19. Szaruga. Ponuro na niebie. I ponuro na ziemi. Niezliczona ilość drewnianych koślawych klocków poukładanych jak grządki na zaniedbanym ogrodzie. Z pagórka, którym się wjeżdża, wygląda to jak wielkie mrowisko. Na rogatkach wita nas wielki kamienny kozioł opatulony w niebieskie szmatki, jak w bandażu po szpitalnej wizycie. To duże jak na tutejsze warunki miasto. Ma nawet swoje lotnisko. Szkoły, straż pożarną, szpital, urzędy pocztowe, disco bar a nawet teatr dramatyczny!

Już przy pierwszych zabudowaniach rzuca nam się w oczy klasyczny wręcz bałagan panujący na głównym trakcie miasta. Zalegające sterty kamieni i zwały jakby odgarniętej skądś ziemi. Drewniane płoty nigdy chyba nie widziały pionu. Są wysokie. Skutecznie skrywają wszystko co się za nimi znajduje. Ale z pojęciem estetyki nie mają wiele wspólnego. Nie mają nawet koloru. A właściwe to mają. Tym kolorem jest barwa zmuszałego od zmiennych i trudnych warunków atmosferycznych drewna. Kilka parterowych budynków jako sklepiki z niezrozumiałymi dla nas szyldami. Stojący przed nimi młodzi mężczyźni przyglądają nam się z zainteresowaniem. Pewnie nie mają takich widoków zbyt często. Choć kto wie. To spore miasto i leży na jednym z głównych szlaków turystycznych. Ich ubiór w niczym nie przypomina tradycyjnych strojów. Adidasy, spodnie w wielką kratę i bluzy z kapturem. Ale nie jest to też najnowszy krzyk europejskiej mody.

W dalszej części miasta mijamy wysoki, betonowy płot z górującą nad nim wieżyczką strażniczą. Dziwne pomieszanie stylu. Nam się to źle kojarzy. Zakład karny? Obóz pracy? Mijamy otwartą na oścież bramę. Tuż za nią żółte maszyny budowlane. Koparki, spychacze... A więc jakiś zakład pracy. I to sporej wielkości. To rzadkość w Mongolii. Ale dobrze że jest. Z pewnością utrzymuje większość oklicznych rodzin.

Na kolejne spanie zatrzymujemy się nad malowniczą rzeczka, około 30 kilometrów za

miastem. Czysty i płytki strumień przecina drogę. Zjeżdżamy w gęsty zagajnik widoczny nieopodal i ustawiamy się nad samym brzegiem. Miejsce idealne. Odizolowane od spojrzeń ewentualnych ciekawskich. Spokojnie możemy zrobić sobie postój gospodarczy i doprowadzić swoje ciała do jako takiego wyglądu. W mongolskim kurzu wystarczy jeden cały dzień jazdy po stepie, by wyglądać i czuć się jak zakurzona figurka w muzeum, w miesiąc po zwolnieniu z pracy ostatniej sprzątaczkii.

Jest jeszcze w miarę młoda godzina. Zanosi się na spokojną kolację i ognisko połączone z magicznym duchem Czyngis Chana, który w tym dziwnym świecie smakuje wyjątkowo dobrze. Sznurek przymocowany do drzewa i rozwieszony na nim pranie, też przywołuje na myśl swojskie klimaty. Zmiana bielizny i kilka dobrych drinków. Aluminiowe naczynia i sztucce też pozbywają się kilkudniowych strupów. Krystaliczna woda i orzeźwiające powietrze. Cała paleta mongolskich jaj znika w czeluściach naszych żołądków. Czujemy jak wraca nam energia. Mija kolejna, spokojna mongolska noc.

## **20 dzień. Środa. 29 czerwca**

O ironio losu. Jadąc wcale nie szybko po asfaltowej drodze, w Bandyce dziurawi się opona. Asfalt równiutki i nowy. Żadny dziur i łatek. Ale jednak. Tak zdradliwe potrafią być niepozornie małe, ale niebywale ostre mongolskie kamienie. Powietrze schodzi dosyć powoli, ale trzeba zdjąć zapasówkę i zamienić koło. Trwa to około pół godziny. Przy okazji dochodzi też do małego zwarcia w instalacjach nerwowych części ekipy. Może przypadek, że akurat teraz, a może ciśnienie w czajniku było już zbyt duże i kiedy nadarzyła się okazja, to wykipiowało. W każdym razie, to co miało ujść, uszło i dalej już były godziny milczenia.

W najbliższej niewielkiej miejscowości zajeżdżamy do skromniutkiego warsztatu mieszczącego się przy głównej (jedynej zresztą) ulicy, w drewnianej szopce z niebieskim szyldem Awtomat Dugun Zaswar. Parterowa zabudowa. Kilka opon ułożonych przed wejściem. Nieopodal, pod ruinami niewielkiego budynku wygrzewające się na betonie leniwe kozy. Nie sposób tu opisać zdumienia, jakie pojawiło się w oczach młodego chłopaka z warsztatu, kiedy zobaczył, że ja (facet) siedzę obok i drzemię w najlepsze i ani myślę wysiadać aby mu pomóc w zdejmowaniu koła, a Aśka (kobieta) siedzi za kierownicą. Jego spojrzenie było na tyle wymowne, że poczułem się dziwnie. Musiałem wyjść na niezłego dupka. Wygląda na to, że w Mongolii pojęcie równouprawnienia, póki co jest tylko pojęciem encyklopedycznym. I nijak ma się do rzeczywistości.

Kiedy opona "się naprawia" zaglądamy do niewielkiego klasztoru, znajdującego się na obrzeżach osady. Z zewnątrz nie szokuje przepychem, ani wyszukаныmi detalami architektonicznymi. Wręcz skromny dziedziniec z kamienną, białoną misą otoczony białym, niewysokim murem z ośmioma słupami. Wnętrze też bardzo skromne, ale w klimacie buddyjskich świątyń. Przyciemnione światło wpadające gdzieś spod sufitu, drewniane ławy i całe mnóstwo fotografii Dalajlamy.

Dolewamy paliwo do Krokodyla i opróżniamy całkowicie jedną z plastikowych baniek, które wieziemy aż z Polski. Chcemy się pozbyć zbędnego balastu i komuś ją

podarować. To też jest okazja, aby zawitać do kolejnego geru na herbatkę z mlekiem.

Ger na który wypadło jest zaraz przy drodze. Trzy jurty obok siebie. Przed nimi trochę koni, i dużo mniej zwierząt niż poprzednio. Kiedy tylko się zatrzymujemy, zjawiają się dzieciaki a zaraz po nich dorośli. Są bardzo przyjaźnie nastawieni. Witają nas i ściskają, pokazując w stronę yurt. Uwielbiają się fotografować. Właściwie wcale nie trzeba ich do tego namawiać. Wystarczy włączyć aparat, a sami ustawiają się przy swoich motorach i z nieskrywaną radością podziwiają się chwilę potem na wyświetlaczu.

Zgodnie ze zwyczajem, obdarowujemy wszystkich drobnymi upominkami, których mamy całą masę w samochodzie. Od długopisów, przez zestawy gumek i spinek do włosów, grzebieni, smycze, zapalki etc. Dzieciaki cieszą się nawet z najdrobniejszych prezentów. Mężczyźni baczniej przyglądają się naszym nożom. Dżozefa wzbudza szczególne zainteresowanie. Piękna grawerowana rękojeść i błyszczące wyjątkowo ostrze. Dżozef jest myśliwym. Ten nóż to prezent od koła łowieckiego. Podoba im się. Przetrzymują go długo, jakby celowo czekali aż im go подарujemy. Ale niestety to niemożliwe. Nóż znika spowrotem w kaburze przypiętej do pasa.

Zasiadamy na podłodze na rozłożonych, kolorowych dywanach. Jest czysto. W ruch idą naczynia i nabierka. W powietrzu unosi się zapach gorącego sute-czaju i pieczonego mięsa. Na piecu, w centralnej części jurty, w wielkim garze coś cały czas bulgocze. Zapewne to on jest sprawcą unoszącego się wszędzie aromatu. Po kolei każdy z nas otrzymuje czarę podawaną, a jakże dwoma rękoma! Taki zwyczaj. Należy go poznać i przestrzegać, gdyż łatwo obrazić gospodarzy nie stosując się do ich etykiety. Ćwiczyliśmy to przed wyjazdem. Ale ich uśmiechnięte przyjaźnie miny nie zdradzają jakiegokolwiek niezadowolenia. Ale kiedy przychodzi kolej na poczęstunek kumysem, zmuszony jestem odmówić. Ze szczerym uśmiechem na twarzy pokazuję, że jestem kierowcą i nie mogę pić alkoholu. Zdają się to rozumieć. Nie nalegają. A mi to po prostu najwyraźniej w świecie nie smakuje.

Mężczyźni nalegają abyśmy czym prędzej poszli za nimi. Chcą nam pokazać coś ważnego. Wychodzimy i zbliżamy się do stada koni. Gospodarz podprowadza żrebaka do matki i pozwala mu zassać mleko. Po chwili odsuwa go i podstawi wiaderko. To początek drogi, jaką musi pokonać mleko kłaczy, aby powstał z niego kumys.

Następnie podziwiamy urządzony przez dzieciaki piękny pokaz jazdy konnej. One mają to we krwi. Już od najmłodszych lat. Czynią to z wielką wprawą. Jeżdżą bez siodeł. Małuchy nie odstępują nas na krok. Jetseśmy dla nich jedną z nielicznych atrakcji, jakie tutaj mają. Jak tylko przykładam aparat do oka, robią niewyobrażalne miny i przybierają zalotne pozy. Kiedy nadchodzi czas odjazdu, żegnamy się chyba z pół godziny.

Docieramy do dawnej stolicy imperium mongolskiego - Karakorum. Zwanego obecnie Char chorin. Przy samym wjeździe napotykamy ponownie sympatycznych Włochów w Landroverze. Zatrzymujemy się pod murami klasztoru na ogromnym parkingu. Jak spod ziemi zjawiają się jeszcze jacyś Holendrzy parkujący swoje dżipy kawałek dalej. Uświetniamy to miłe spotkanie symbolicznym toastem, z ostatniej żubrówki jaka nam pozostała. Jest wesoło, ale czas ucieka nieubłaganie, więc szykujemy się do zwiedzania

tego tajemniczego miejsca.

Podobnie do budowy klasztoru posłużyły kamienie, ze zburzonego dwa wieki wcześniej Karakorum. Liczne udane podboje zmusiły Mongołów do wybudowania jednego ośrodka, który pozwoliłby na sprawne kierowanie państwem. Po śmierci Czyngis Chana, jego syn Ugedej, ustanowił Karakorum stolicą imperium. Po zaledwie trzydziestu latach stolica została przeniesiona do Pekinu, a w latach osiemdziesiątych XIV w., Karakorum zostało zniszczone przez wojska chińskie.

Budowę klasztoru rozpoczęto w szesnastym stuleciu, a poszczególne świątynie powstawały jeszcze przez trzysta najbliższych lat. Na początku XX w. w okolicznych gerach mieszkało ponoć około tysiąca mnichów, zaś sam kompleks liczył około stu świątyń, w większości zniszczonych podczas czystek religijnych.

Osiemnastowieczna Altan Suwraga, czyli Złota Stupa. To jedna z najbardziej charakterystycznych form architektury buddyjskiej. Wybudowana w XVII w. świątynia Lawiran, a obok niej otoczony murem kompleks - Gurwan Dzu. Najstarszy obiekt na terenie klasztoru to Choch Sum, czyli Niebieska Świątynia, pochodząca z XVI w. Najstarsza zachowana świątynia Mongolii. Obecnie w budynkach klasztornych jest muzeum z bogatymi zbiorami lamajskiej sztuki sakralnej. Ponownie, jak niegdyś zamieszkują tu mnisi.

Na dziedzińcu znajdują się kamiennne posągi, jedne z niewielu pozostałości po Karakorum. Kompleks otoczony jest, zbudowanym na przełomie XVII i XVIII w., murem ze stu ośmioma stupami. Są one symbolem 108 tomów Kandżuru, czyli przekładu słów Buddy.

Kamienny żółw tkwiący nieprzerwanie od XIII w. kilkaset metrów za murem świątyni to pozostałość po stolicy mongolskiego imperium. Wraz z trzema kolejnymi, wskazywał granice miasta Karakorum.

Opuszczając ten pełen mistyki klasztor, zapuszczamy się jeszcze w skromne stragany z pamiątkami stojące niepozornie za tylną bramą. To dobra okazja, aby zdobyć coś dla najbliższych. I rzeczywiście warto było tu zajrzeć. Tak ładnych pamiątek nie spotkaliśmy nigdzie po drodze. Dobrą godzinę plądrujemy stoiska targując się ze sprzedawcami o każdego tugrika. Gdybyśmy mogli, zostawilibyśmy tam worek pieniędzy. Na szczęście dla nas, tego worka nie mamy. Zadowolamy się więc kilkoma jakże uroczymi suvenirami z tego pięknego miejsca.

Za Charchorin, kiedy już ostatnie zabudowania znikają za horyzontem, ulegamy nieodpartej pokusie i montujemy znaleziony, krowi łeb z porożem na masce Krokodyla. Wygląda to co najmniej niesamowicie. Przez chwilę czujemy się jak wikingowie, kiedy w swych wielkich łodziach wyruszali na podbój obcych lądów.

Dzień pełen niezapomnianych wrażeń dobiega końca. Ale przygody nie dają o sobie tak łatwo zapomnieć. Po środku stepu w Bandydzie kończy się paliwo. Wlewamy ostatnie 20 litrów z kanistra. To nie jest dobra wiadomość. Nie wiemy kiedy będzie okazja znowu zatankować. Bandyta musi jechać bardzo ekonomicznie. O ile silnik 3,8 litra potrafi w ogóle jechać ekonomicznie!

Niznaczne spóźnienie powoduje, że pozwalamy sobie na szybką jazdę. Asphalt. Prosta droga. Nastroje w porządku. I nie przeszkadza nam w zasadzie to, że jest już kompletnie ciemno i ledwo widać to co dzieje się przed maską samochodu.

Każdy kierowca zna to uczucie, kiedy nadjeżdżający z przeciwka pojazd oślepią swoimi światłami. I zna też ten moment, kiedy pojazdy są już obok siebie i wtedy wjeżdża się w czarną otchłań. Oślepione oko przez ułamek sekundy nie widzi nic, zanim ponownie oswoi się z ciemnością.

Tak było i teraz. Silne światła samochodu jadącego z przeciwka na chwilę nas oślepiły. Kiedy się mijamy na jakąkolwiek reakcję jest już za późno. Po sekundzie przed maską dostrzegamy tylko ledwo oświetlone krowie cielska! Rysiek nawet nie naciska hamulca. Może to i lepiej. Przy trzech kołach mogłoby nas mocno zarzucić, a to groziłoby nawet wywrotką! Uderzenie jest dosyć mocne. Jest spory hałas. Mija kilka minut zanim dociera do nas , co tak naprawdę się stało. Wyskakujemy z Krokodyla. Mamy wgnieciony prawy błotnik na tyle mocno, że blokuje nam koło. Blacha wrzyna się w oponę wydając okropny dźwięk. Staczymy się na siłę kilka metrów w bok, by nie stać na drodze. Jest kompletnie czarno. Bez latarki możnaby się potknąć o własne buty. Krowy nie ma nigdzie w pobliżu. Mimo obrażeń, zbiegła z miejsca zdarzenia.

Po krótkiej naradzie przy znaczącym współudziale Czyngis Chana, decydujemy się poodginać trochę blachy, aby dało się jechać dalej bez wizyty w warsztacie. Klosz jest popękany, ale świeci. Kierunkowskaz też. I też świeci. Chłodnica cała. Nie świeci bo nie musi. Ale nie cieknie. Nie jest więc najgorzej. Podpinamy linę do Bandyty i naciągamy blachy. Słychać jak trzeszcza, niczym Titanic ocierający się o góry lodowe.

Nie ma rady. Zostajemy tu na noc. Nie jest to francuska riwiera. Nie ma rzeczki ani drzew. Właściwie to nie wiadomo czy jest, czy nie ma. Widoczność spadła do kilku metrów. Za to napewno nie ma wykwintnej kolacji. Nie ma ogniska. Humoru też nie ma...

## **21 dzień. Czwartek. 30 czerwca**

By ta noc była wypoczynkiem to nie powiem. Nadmiar wrażeń z poprzedniego dnia spowodował przedziwną kumulację małorelaksujących snów. Rankiem doświadczamy na dodatek bardzo dziwnego zjawiska. Budzi nas klakson Bandyty. Kiedy wychylamy się z naszych namiotów, Aśka jest przerażona. Dookoła nas stoi spore stado krow i nam się przygląda. Zaczęła trąbić, bo krowy stuknęły jej rogami w samochód. I to tak mocno, że w pewnej chwili wystraszyła się o karoserię!

Nie wiemy co o tym myśleć... To o tyle dziwne, co raczej mało prawdopodobne... by krowy przyszły pomścić wczorajszą ofiarę zderzenia. Prędzej uwierzę, że nasze rogi na masce zbyt nie przypadły im do gustu. Ale czy to w ogóle możliwe? Czy nie popuszczamy wodzy niezdrowej fantazji? A jednak krowy są tu naprawdę. Faktem bezspornym jest, że pukały w karoserię Bandyty... więc o co tu chodzi?

Na dzień dobry skromne śniadanko z jednej puszki rybnej. Szprot w sosie pomidorowym nie starcza na wszystkie kromki. Kilka z nich jest z samym masłem. Ale apetyt zniknął gdzieś wraz trafioną krową. Oglądamy nasze nocne zmagania blacharskie. Dopiero przy świetle dziennym widać jakie są uszkodzenia. Ale nie ma dramatu. Da się jechać dalej. Trzeba tylko poprawić kierunkowskaz. Jest zbyt luźny i dynda. Kawałek zwykłego drutu

załatwia sprawę definitywnie.

50 kilometrów dalej Bandyta na chwilę zostaje z tyłu. Po chwili się zjawia i wyprzedza nas, demonstrując swoje rogi zamontowane na kole zapasowym z tyłu. Wygląda całkiem groźnie. Tym akcentem, dziewczyny dołączyły do naszego, męskiego klubu Wikingów...

50 kilometrów i... tracimy następny hamulec. Kolejna rurka musi zostać zaślepią. Nic innego nie da się w tym miejscu zrobić. Rysiek i Dżozef zmagają się z nią kilka godzin. Aśka zasypia kamiennym snem. I nic nie jest w stanie jej obudzić. Teraz widać jak bardzo potrzebujemy odpoczynku.

Małgosia w tym czasie zagląda do skromnej jurty i znajdującego się obok niej maleńkiego sklepiku. Sklepik ma wyjątkowo skromny asortyment. Kilka produktów stojących na półce i kilka wystawionych w oknie. Bardziej zasługuje na miano kiosku. A i ta nazwa chyba jest mocno na wyrost. W środku małe dzieci o bardzo smutnych oczach. Siedzą na drewnianej podłodze i grają w jakąś tajemniczą grę. W jurcie bardzo skromnie. Ale panel słoneczny i antena satelitarna obowiązkowa. Za to żadnych zwierząt w pobliżu.

Na dwóch kołach startujemy do Ułan Bator. Musimy toczyć się ostrożnie. O raptownym hamowaniu możemy zapomnieć! Żadnej gimnastyki na szosie! W razie potrzeby, pozostaje nam wspomaganie się hamulcem ręcznym.

I oto jesteśmy w Ułan Bator. To też ważny moment naszej wyprawy. Wielu, którzy mieli przyjemność poznać to miasto twierdzi, że to najbrzydsza stolica świata. Wjazd do stolicy niegdysiejszego imperium jest szokujący i zdaje się potwierdzać tę opinię. Kilkanaście kilometrów po ubitej, piaszczystej drodze, na której nie obowiązują, poza ruchem prawostronnym, żadne zasady ruchu drogowego. Na rogatkach miasta, kolejna opłata za wjazd. Tłok niewiarygodny. Sznur pojazdów powolnie dreptających w jedną i drugą stronę.

To miasto tak naprawdę zbudowali Rosjanie. Co dobitnie widać po charakterystycznych blokach z wielkiej płyty w stylu sowieckim. Położone w dolinie rzeki Tuul, otoczone jest z każdej strony górami. I wiecznie zadymionymi kominami kilku fabryk. Nad miastem często unosi się smog. Nierzadkim widokiem są ludzie pomykający w maseczkach na twarzy. Ostrzegano nas też przed spacerowaniem po zmroku. I to nie z powodu drobnych rzezimieszków. Sprawa okazuje się bardziej banalna, poza głównymi ulicami brak jest oświetlenia, nie działają żadne latarnie, a na ulicach brak jest pokryw od studzienek. Ba! Brak jest jakiegokolwiek zabezpieczenia! Nie patrząc pod nogi łatwo można zaliczyć darmowe zwiedzanie kanalizacji. Brak tu zieleni, parków i skwerów.

Przedmieścia wyglądają jak slumsy w Mogadiszu. Ciasna, drewniana zabudowa. Wąskie uliczki, posiekane drewnianymi, tańczącymi po wariacku płotami. Architektoniczny galimatias. Niektóre domki sklecone są z mułu i desek połączonych z płytami blaszanymi. Trafiają się też tam domy zbudowane z cegły. Słupy energetyczne żyją jakby swoim życiem. Pojęcie pionu jest tu tak samo abstrakcyjne, jak zimowy

spacer w kąpielówkach po nadmorskim molo. Nie ma tu też kanalizacji. Wyczuwa się silny zapach moczu. Im bliżej centrum, miasto się stopniowo cywilizuje. Coraz wyższe, ładniejsze i bardziej nowoczesne budynki. Więcej dużych marketów, banków, centrów handlowych i restauracji. Coraz więcej też kolorowych reklam i billboardów.

Trzeba naprawdę stalowych wiązań tkanki nerwowej, by pokonać to miasto za kierownicą. Miejscowi kierowcy zachowują się jak zaprogramowani myśliwi, polujący na bezbronnych pieszych. Każda zmiana pasa, natychmiast uruchamia całe pokłady wyobrażeń o nieuniknionej wizycie u lakiernika. Jakimś przedziwnym cudem docieramy do samego serca miasta w jednym kawałku. Chcemy zwiedzić Gandan. Klasztor znajdujący się w centrum stolicy. To najważniejszy punkt programu.

W tym czasie Rysiek ma pojechać do firmowego warsztatu Landrovera, który gdzieś tu się podobno znajduje. Musimy jakoś naprawić te hamulce. Jazda po stepie to w sumie przysłowiowy pryszcz. Tam hamulec jest używany mniej więcej tak często, jak uchwyt dachowy do deski surfingowej. Ale myśl o pokonaniu ponad pięciu tysięcy kilometrów w drodze powrotnej przez Rosję sprawia, że przebiegają nam w te i wewte ciarki po plecach. Przy czym każdy ma swoje ciarki.

Gandan to zespół klasztorny z XIX w. Jest najważniejszym ośrodkiem buddyzmu dzisiejszej Mongolii. Pochowano tu trzech najważniejszych przywódców mongolskiego buddyzmu. Codziennie odbywają się tu wielogodzinne modły. Oprócz dorosłych mnichów, uczestniczą w nich młodzi kandydaci na lamów. W czasie ich trwania spożywają spore ilości ryżu i kumysu. Turyści mogą się temu swobodnie przyglądać, ale niemile widziane jest fotografowanie. Zaskakującym jest fakt, że większość posążków buddy znajdująca się w klasztorze, została wyprodukowana w Częstochowie na chwilę przed wybuchem drugiej wojny. Przywieziono ich do Mongolii około tysiąca. Obecnie w obrębie klasztoru znajduje się kilkanaście świątyń, i wciąż buduje się nowe. W czasie czystek religijnych klasztor został zamknięty. Otwarty w panicznym pośpiechu dopiero podczas wizyty amerykańskiego wiceprezydenta, który zażyczył sobie odwiedzić jakiś klasztor buddyjski. Do lat 90. pozostawał jedynym funkcjonującym klasztorem w Mongolii. W jednym z budynków znajduje się gigantyczny posąg buddy, mający ponad 26 metrów wysokości. Niestety, to tylko kopia prawdziwego posągu, zniszczonego w latach trzydziestych. Waży 93 tony. Do jego budowy zużyto prawie 9 kilogramów złota. 25 kilogramów srebra, 2100 różnych kamieni szlachetnych i 20 ton miedzi.

Pod bramą klasztoru zaczepia nas przesympatyczna kobieta z córką, mówiąca dobrze po polsku. Dawno temu studiowała medycynę w Warszawie i bardzo miło wspomina pobyt w naszym kraju. Rozmawiamy ponad godzinę. Oferuje swoją pomoc, gdybyśmy jej potrzebowali. To bardzo miłe.

Jesteśmy zmęczeni. Nie mamy już ochoty na szukanie taniego noclegu gdzieś na obrzeżach. Atakujemy pierwszy z brzegu hotel w nowym i ładnym budynku z błyszczącego klinkieru. Chyba nie wzbudzamy zaufania w recepcji naszymi umorusanymi bojówkami, bo miła pani w eleganckim żakiecie kiwa przecząco głową na pytanie o wolne pokoje.

Następny jest wieżowiec o nazwie Naarantuul. Ładnie otynkowany, w przyjemnych stonowanych kolorach. Trochę przypomina komunistyczny wytwór na dużym blokowisku w Świdnicy, ale ma trzy gwiazdki i wewnątrz robi na nas całkiem sympatyczne wrażenie. Przekonuje nas. Bierzemy. Sto dolarów za pokój. Warunki iście cywilizowane. Czysta pościel, białe szlafroki i gorąca kąpiel w wannie. Telewizor, telefon i wielkie wygodne łóżka. Jednak tkwi w nas gdzieś ta tęsknota za wygodami cywilizowanego świata, choć nie zawsze sobie z tego zdajemy sprawę i nie zawsze umiemy się do tego przyznać. Jest tak bosko, że chciałoby się rzec, chwilo trwaj...

## **22 dzień. Piątek. 1 lipca**

Po nocnej imprezie troszeczkę odsypiamy. Określenie "troszeczkę" jest tym razem bardzo umowne. Zwykle zrywamy się o piątej lub szóstej rano. Ale skoro komendant wycieczki nie wydzwania na pobudkę, grzmocąc w metalową skrzynię Krokodyla, nikt z nas nie próbuje być nadgorliwym. Dopiero około dziesiątej zaczynamy powracać do świata żywych. Śniadanko spożywamy na spokojnie. Kawa, kanapki i żal. Żal opuszczać to komfortowe miejsce. Ale wiadomo, doba hotelowa...

Plan na dziś, to wizyta w warsztacie samochodowym, oraz zwiedzanie Pałacu Zimowego Bogd Chana, oraz zakupy na największym bazarze w Mongolii. Na początek jednak wizyta na placu Suche Batora, i obowiązkowe, pamiątkowe foto pod budynkiem parlamentu z otyłym Czyngis Chanem w tle.

Plac najbardziej ze wszystkich części tego miasta przypomina zdobycze współczesnej cywilizacji. Otoczony jest budynkami w których znajdują się wszystkie najważniejsze instytucje tego kraju. Parlament, muzea, teatry, hotele, opera...

W tym miejscu w latach 30. Suche Bator jako przywódca mongolskiej rewolucji ludowej ogłosił zwycięstwo tejże rewolucji. Na cześć tego wydarzenia otrzymał wielki pomnik w centralnym jego miejscu. Pograżył tym samym ten kraj na dziesiątki lat w ubóstwie. 70 lat później w tym samym miejscu rozpoczęły się protesty, które ostatecznie doprowadziły do upadku komunizmu. Ale pomnik stoi nadal. I o dziwo, Suche Bator nadal jest bohaterem narodowym.

Pałac Zimowy Bogd Chana, ostatniego chana Mongolii, pełni obecnie funkcję muzeum. Zbudowany w chińskim stylu. To dar od Cara Rosji Mikołaja II. W skład kompleksu, oprócz pałacu, wchodzi aż siedem świątyń. W muzeum można podziwiać pamiątki po chanie (m.in. tron, korona, ubrania, prezenty otrzymane od innych władców), zabytkowe posągi i malowidła. Poza tym w mieście nie ma żadnych innych znaczących zabytków.

Bazar mieści się na peryferiach. Można tu kupić wszystko. Zajmuje ogromny obszar częściowo zadaszony. Zupełna egzotyka. Straszny tłok. Chwilami trzeba się przeciskać unosząc ręce do góry. Tysiące straganów, kramików, stolików, kartonów i pudeł. Starsi ludzie w mongolskich strojach wyprzedają swoje, niekiedy bardzo cenne rzeczy. Na bazarze trzeba uważać na złodziei. W tych sprzyjających warunkach utrata portfela czy paszportu to przysłowiowa bułka z masłem. Na każdej alejce dwukołowe, żółte



beczkowozy z napisem Kwas. Można w nich skosztować za drobną opłatą kwasu chlebowego. W takie upalne dni jak ten, skutecznie gasi nam pragnienie. Jesteśmy zaskoczeni sporą ilością polskich artykułów spożywczych. Zwłaszcza słodyczy i dżemów jest tu cała masa.

Trafiamy na gigantyczny targ mięsny. Dziesiątki oszklonych boksów na których dziesiątki ludzi szatkuje, rozkrawa i sortuje dziesiątki wielkich i krwistych kawałów mięcha. Widok potrafiący wprawić w osłupienie nawet twardego wyjadacza. Warunki sanitarne podczas tych wszystkich "operacji" zdecydowanie odbiegają od znanych nam, europejskich standardów. Kiedy wyciągamy aparaty aby zarejestrować ten niespotykany widok, spotykamy się z nieprzyjawnymi gestami ze strony obsługi. Kilka ujęć robimy więc z ukrycia. I czym prędzej się stamtąd wynosimy.

Na koniec zjadamy jeszcze na parkingu całkiem smaczny i niedrogi szaszłyk zrobiony nie wiadomo z czego. Dwie kilkunastoletnie dziewczynki prowadzące ten biznes są bardzo miłe i uprzejme, ale nie chcą nam tego zdradzić.

Po mału zmierzamy w kierunku drogi wylotowej do granicy z Rosją. Krokodyl nadal jest w warsztacie, ale teraz jest zasięg, więc ze spokojem możemy spotkać się gdzieś na trasie. W Bandydzie są tylko dwa miejsca. A nas jest troje. Jak łatwo policzyć, jeden (jedna) z nas musi posadowić się na podłokietnikach pomiędzy fotelami. Dziewczyny muszą mocno wciągnąć brzuchy. Ja się mieszczę bez problemu...

Opuszczając to biedne, pełne kontrastów i mocno niedoinwestowane miasto, nadal nie możemy się nadziwić warunkom w jakich ci ludzie tutaj żyją. Krążymy po omacku po mrowiskowych przedmieściach chałupinek i jurtowisk. Dzięki systemowi oznakowania, błądzimy już któryś raz z rzędu! I któryś raz zmuszeni jesteśmy zapytać o drogę. A mimo to znów błądzimy. I znów. W końcu jedziemy na czuja. Czyli powiedzmy na północ. GPS i mapa papierowa zostały nieopatrznie w Krokodylu. A może opatrzenie. Jeśli byłyby w Bandydzie, to Krokodyl miałby to samo zmartwienie co my teraz. Więc na jedno wychodzi.

Nasza droga zamienia się w polną ścieżkę. Beztrąsko tańczy pomiędzy brunatnymi kałużami i szynami kolejowymi. To nie byle jakie szyny! To główna magistrała z Ułan Bator do Rosji! Przejeżdżamy wszelkie urozmaicenia terenu jakie można tylko sobie wymarzyć. Raz pod ciasnym i niskim wiaduktem, po chwili brzegiem wielkiego parowu. Mamy wrażenie że jedziemy już na dachu, bo pochył jest tak znaczny. Tak pokonujemy około 30 kilometrów, nim docieramy do głównej asfaltówki. Skrócik może nie zaoszczędził nam czasu, ale za to dostarczył niezapomnianych wrażeń wzrokowych!

Zatrzymujemy się na ogromnej (jaki ma sens używanie tego przymiotnika tak często, skoro tutaj wszystko jest ogromne?), uroczej łące, na której hasają wielbłądy i jaki. Idealne miejsce na wylegiwanie się w długich ramionach przecudnie czerwonego słońca. Mamy więc czas i bezczelnie to wykorzystujemy. Krokodyl i tak musi jechać tą drogą, więc nie ma strachu. Musi nas zauważyć. Anielska błogość. Źrenice zaczynają nam odjeżdżać w górne pokłady stratosfery. Nareszcie nie ma tego piekielnego pośpiechu.

Nie trzeba nigdzie gnać. Czas stanął tym razem w miejscu. Jawa miesza się ze snem...

Z powrotem na ziemię ściąga nas łoskot Krokodylego silnika. Hamulce naprawione. Turlamy się jeszcze 50 kilometrów i jak zwykle znikamy za drzewami w poszukiwaniu noclegu. Urodziwe koryto rzeki za Bayangol pasuje idealnie. Żadnych obcych, tylko my, natura i stojące w oddali konie. To ostatnia noc w Mongolii.

## **23 dzień. Sobota. 2 lipca**

Poranne słońce i urok tego miejsca dodaje nam energii. Ale humory w kali od 1 do 10, to... 3! Jeszcze nie przekroczyliśmy granicy a już tesknimy za tą surową Mongolią. Wszyscy milczą. Kontemplują. Segregują i układają w pamięci to co widzieli do tej pory. Trzeba zrobić miejsce na następne doznania. Przed nami wielka przygoda z Bajkałem i Tajgą Syberyjską w roli głównej.

W Darchan, ostatnim dużym miastem przed granicą obowiązkowy postój. Myszkuje bo lokalnym targowisku i uzupełniamy zapasy w sklepiku spożywczym. Nasze samochody wzbudzają zainteresowanie miejscowych. Spora grupka facetów w filcowych kapeluszach i z reklamówkami w rękach otacza Krokodyla półkołem. Dotykają rogi i zagląдают pod samochód. Pukają palcami w zgnieciony błotnik i dyskutują głośno. To samo z Bandytą. Jeden nawet prosi o otwarcie maski. Chce podziwiać amerykański, wielki silnik. W sumie dlaczego nie... Niech podziwiał.

Miasto zbudowane w 1961 r. w miejscu dawnego kołchozu, przy wybitnym udziale bratnich wówczas krajów. W tym i Polski. Nasi rodacy postawili tu fabrykę cegły i wapna. Rosjanie elektrociepłownię, a Czesi zakłady mięsne. Teraz to duży ośrodek przemysłowy. Mieszka tu ponad 74 000 ludzi.

Przejeżdżamy Suhbaatar. Wlewamy paliwo i postanawiamy pozbyć się pustej bańki. Nie będziemy jej przecież targać z powrotem. Wybór pada na skromny jednojurtowy ger widoczny w oddali. Kiedy parkujemy obok wyskakują dzieciaki. Są energiczne i uśmiechnięte. Po chwili zjawia się kobieta. Jest sama. Wielki brzuch niebawem powiększy tę i tak już liczną rodzinę. Troszkę niepewnie zaprasza nas do środka. Przerwaliśmy jej przygotowania do obiadu. Klęcząc na podłodze lepi z mięsa klopsy i wrzuca do wielkiego gara stojącego na palenisku. Błyskawicznie pojawia się sute-czaj w miseczkach. Oddajemy wszystkie suweniry jakie nam jeszcze pozostały. Maluchy są zachwycone prezentami. Wyciągają nas za ręce prowadząc do zagrody znajdującej się z tyłu jurty. Koniecznie chcą nam pokazać swoje zwierzęta. Widać że są z nich dumne. Ich radość jest jeszcze większa, kiedy zaczynamy je fotografować. Na jurcie tylko jeden panel słoneczny. Anteny satelitarnej już nie ma...

Trudno nam się porozumieć z tą kobietą. Ani trochę nie mówi po rosyjsku. Za to wymownymi gestami zaprasza nas na obiad. Na jednym z dywanów wyleguje się leniwie ogromny martwy kawał mięcha z żebrami na wierzchu. To z niego kobieta lepi mielone klopsy. Leżąc tak sobie swobodnie, robi na nas spore wrażenie. Muchy też otaczają go z podziwem.

Podziwiamy bardzo prostą technologią wyrobu sera, który potem suszy się w dużych kawałkach na słońcu. Ale kiedy podczas jego degustacji, obok gotowych już porcji dostrzegamy dwa odcięte kozie łby z otwartymi oczami, to mamy dosyć! Mija nam ochota na dalsze przygody kulinarne. Dajemy grzecznie do zrozumienia, że nie możemy zostać na obiedzie z braku czasu. Żegnamy się i odjeżdżamy.

Granica. Mongolskie szlabany przekraczamy dosyć szybko. Niewielka kolejka, grupka pieszych, jeden archaiczny autokar i kilka krów spacerujących w poprzek asfaltu. Parę papierków do wypełnienia i podjeżdżamy do granicy rosyjskiej. I tu zaczyna się kolejna prawdziwa przygoda w czystej postaci made in russia. Przed nami nikogo. Na odprawie nikogo. Celnik siedzi w swojej minibudce... i nic. Nic się nie dzieje. Pewnie się zaczytał. Albo jakieś trudne hasło w krzyżówce nie daje mu spokoju. Nie ma też przerwy śniadaniowej która by wiele tłumaczyła. Czekamy...

Nie mamy ani kropli wody do picia. Sklepiku żadnego tutaj niet! Aśka wrzuca tabletki odkarzające do butelki z wodą techniczną, czyli taką do mycia, gdyby ktoś nie wiedział. Bo woda na wyprawie dzieli się na spożywczą i techniczną. Nie mamy wyboru. Smażymy się jak jajka sadzone. Jest piekielnie gorąco. Mówi, że trzeba odczekać około pół godziny i będzie można ją normalnie pić. Czekamy...

Kiedy tak sobie najnormalniej w świecie czekamy, celnik kiwa z daleka. Znaczy się: podjeżdżać! Ale kiedy Bandyta rusza, pryska cała celnicza sympatia. Po hamulcach i stoimy. Za to rusza stojący za nami wielki tir. A potem jeszcze dwa lub trzy. A my nadal się smażyjemy. W ciszy słyszymy jak biało nam się ścina od gorąca. Trochę jak przytłumiony dźwięk skwierczącej patelni.

Kiedy woda podobno nadaje się już do picia, to... nie mogę zrobić ani łyka. Intensywny zapach chloru przywołuje na myśl aromaty w basenie miejskim, tuż po zakończeniu udanego sezonu. Nie piję tego. Nie mogę się przełamać. Wytrzymam...

Wreszcie jest nasza kolej. Chyba. Żołnierz pozwala nam podejść do odprawy. Zaczyna się bazgrolenie papierków z rubryczkami i deklaracjami. Biegamy od okienka do okienka. Tu pieczętka a tam podpisik. Tu podpisik a tam pieczętka. Czy może na odwrót. Już nie pamiętam.

Zjawia się też seksowna pani około trzydziestki w wykrochmalonej, białej bluzeczce i zabiera nam rogi z samochodów, dając do podpisania jakiś protokół. Ładnie się uśmiecha i sprawia wrażenie, jakby to co robi to była normalka. Jakby codziennie po kilka razy zabierała rogi z samochodów. Rutyna. Sami musimy je odnieść do niej do biura, bo ona tego dźwigać nie zamierza. Składamy je bezpośrednio na podłodze koło jej biurka! Leżą tam już rogi Ryśka, który przechodzi odprawę pół godziny przed nami i jest już na dalszym etapie. Tworzy się niezła kolekcja trofeów na biurowym linoleum. Ciekawe dokąd trafią pod koniec dyżuru? Pewnie do zwykłego kubła stojącego przy wejściu do budynku.

Jeszcze tylko przeglądanie zagraconych po suficie bagażników. Rzut celniczym okiem tu i

tam. Z boku wygląda to jak zwykła formalność. Ale profesjonalista wie gdzie spojrzeć, aby na grzbiecie kogoś, kto przewozi coś nielegalnie, zjeżył się włos. Albo nawet wszystkie. Zawodowcy więcej potrafią wyczytać z zachowania ludzi niż z tego co zobaczą w bagażniku!

Dochodzi też do kilku zabawnych sytuacji. Kiedy jeden z postawnych celników w nienagannie wyprasowanym mundurze z czerwonymi naramiennikami pyta Aşkę o broń: - Orużije u was jest? Pada szczerza odpowiedź, że tak!!! Bardzo lubi... róże!!! Na szczęście kończy się tylko na skądinąd ironicznym, prawie niewidocznym połusmieszku na jego twarzy. Pojmuje błyskawicznie przewrotność tej sytuacji i nie przerywa swoich czynności. Zupełnie, jakby odpowiedź była bez znaczenia.

Za to schludnie zaczesana w blondkoczek pani, o całkiem powabnych, delikatnych rysach, zaskakująco długo przygląda się mojej fotografii w paszporcie. Ustawia mnie bardziej na wprost swojego okienka i naprzemiennie zerka to na mnie, to do paszportu. Widzę po wygiętych w dół kącikach jej naszminkowanych na krwistoczerwono ust, że coś jest nie tak! Takie wygięcie oznacza u kobiet gromadzące się burzowe kumulusy wątpliwości!

Stoję grzecznie. Ale wiem, że coś nie pasuje. Ja jej nie pasuję! A może chce mnie trochę podręczyć? Może zbyt swobodnie się zachowywałem jak na powagę urzędu granicznego? To prawda. Trochę głośno sobie dowcipkowaliśmy. Było wesoło. A to jest Rosja. A my to Polacy. Dziwnie się czuję przez tą chwilę. Jak wynajęty statysta przed lustrem weneckim w trakcie okazania na komisariacie.

Owszem, jestem teraz trochę zarośnięty, nawet bardzo. Jak owca po miesiącu spędzonym na wypasie wysoko w Tatrach. Ale rysy twarzy bez względu na to co ostatnio jadłem, lub czego nie jadłem, nie zmieniły się aż tak bardzo...! No, może grymas z braku wody sprawia, że przypominam teraz jakiegoś innego, znanego dobrze w Rosji aktora...

Blond-służbistka zwraca się do kolegi siedzącego obok na obrotowym krzeselku, wypisującego i stemplującego swoją porcję papierków w kilogramowych ilościach. Nie wiem co dokładnie do niego mówi. Słabo słysząc. Właściwie nic nie słysząc. Ale kolega wstaje i podchodzi, próbując z marszu rozgryść problem. Zerkają razem przez dłuższą chwilę. A ja staram się na ochotnika pomagać w tej przeciągającej się, międzynarodowej identyfikacji. Bez wezwania delikatnie obracam głowę, to lewym półprofilem... to prawym, cały czas patrząc w jej oczy. Odważny wzrok powinien ją przekonać że ja, to ja! A nie ktoś inny... Delikatnie też się uśmiecham starając się zachować zimną krew.

I dlaczego takie coś zawsze musi przytrafić się akurat mnie?! A może jestem już poszukiwany na terenie Europy? Gorączkowo przeszukuję zakamarki pamięci. Zaraz, zaraz, czy zapłaciłem wszystkie rachunki za gaz i za prąd przed wyjazdem..?

Aśka próbuje choć trochę przechylić szalę wątpliwości na moją korzyść, zapewniając blond-służbistkę, że jestem jak najbardziej prawdziwy! Aby ostatecznie było wszystko

jasne wręczam jej moje międzynarodowe prawo jazdy i polskie, plastikowe wraz z dowodem osobistym. Teraz rosyjsko-graniczna niepewność znika jak talerzowy tłuszcz po Ludwiku. Porównanie kilku zdjęć na których nawet ja nie mam wątpliwości, że to jestem ja, rozwiewa wszelkie niejasności. Pieczętka z hukiem łąduje na mojej karteczce, a wszystkie dokumenty ratujące mnie przed rosyjskim łagrem, przez otworek w szybcie wracają do mnie.

Zamiast spadać z tego miejsca czym prędzej, poświęcamy jeszcze trochę czasu na międzynarodową pomoc w wypisywaniu tych samych papierków Bobowi. Miota się od okienka do okienka z przerażeniem w oczach i nie może tego ogarnąć. Jest angolem. Ma dobrze po pięćdziesiątce i wygląda jak postać z ostatniej części Harryego Pottera. Rozmierzwione długie i posiwiałe już włosy. Szczupła, pociągła twarz pełna zmarszczek i okulary. Ma na sobie kosmiczny strój motocyklowy. Objechał całą Mongolię na stalowym rumaku i wraca już do Anglii. Wszystko co udało mu się zabrać, ma przymocowane po bokach motoru. Jest sympatyczny i wdzięczny za ratunek.

Kiedy wreszcie szlaban wędruje z impetem ku górze, kamień spada nam z serca. Znów jesteśmy w Rosji...

## **Część 3.**

### **Czyli trudny powrót do domu...**

Opada

---

Wygląda na to, że zabawimy tu trochę dłużej.

Zaczynamy syzyfowe prace. Mozolne podkopywanie i podnoszenie na lewarku. Podkładamy gałęzie. I tak w kółko. Przekopujemy pół drogi. Małgosia wykopuje kanał i odpuszcza wodę z kałuży. Trwa to wszystko około 5 godzin. Zapada zmrok. Kończy się

woda pitna.

Krokodyl czeka 100 metrów dalej. W zasadzie mógłby się cofnąć i ponownie wziąć Bandytę na hol, ale nie chcemy ryzykować zakopania się drugiego auta. W międzyczasie sprawdzamy jak wygląda droga w dalszej części. Nie jest dobrze! Błotnistych pułapek przybywa z każdym metrem i są coraz gorsze. Kiedy wreszcie udaje się wyciągnąć Bandytę, decydujemy się na odwrót.

Krokodyl omija Bandytę i wysuwa się na czoło. Znowu trzeba pokonać te wszystkie zasadzki, aby wrócić w kierunku jeziora Gęsiego. Bierze Bandytę na linę i tak przemierzają kilkaset metrów, tańcząc fokstrota na wysokich koleinach.

W pewnej chwili ich zarzuca i lądują w głębokiej kałuży, zawieszając się. Nic już nie pomaga kręcenie kołami w miejscu. Obydwoje są uziemieni. Podpinamy wyciągarke do drzewa. Drzewo ma wyciągnąć Krokodyla. A ten Bandytę. Jak w Bajce o Rzepce. Ale Nasza bajka kończy się inaczej. Wyciągarka pod tak dużym obciążeniem się zacina. I ani drgnie. Stoimy z linami napiętymi jak struny w kontrabasie. I mamy już wszystkiego dosyć.

Musimy w takiej przedziwnej konfiguracji spędzić tę noc. Wśród komarów rodem z gęstej tajgi syberyjskiej. Mamy nadzieję, że słoneczny poranek podpowie nam jakieś rozsądne rozwiązanie tej paradoksalnej sytuacji, w której się znaleźliśmy.

I tak jak poprzednio, mozolne podkopywanie i lewarkowanie. Podkładanie pod kola, i cała procedura od nowa. Kilkanascie razy. Wreszcie Bandyta zaczyna się lekko przesuwac do przodu pod naporem napiętej liny. Kiedy jest ona już na tyle luzna, odpinamy go. teraz kolej na Krokodyla. Lewarkowanie i podkopywanie. I znowu to samo. Po sześciu godzinach kopania jesteśmy wykonczeni, ale uwolnieni. zaczynamy się ponownie przebijać w kierunku jeziora Gęsiego. W trakcie tej kilkudziesięciokilometrowej drogi, jeszcze kilkakrotnie będziemy musieli używać liny i wyciągarki. Ale wydostajemy się z tego trójkąta bermudzkiego. Tajga okazała się silniejsza. Nie pozwoliła nam przebrnąć przez swoje tajemnicze wnętrza.